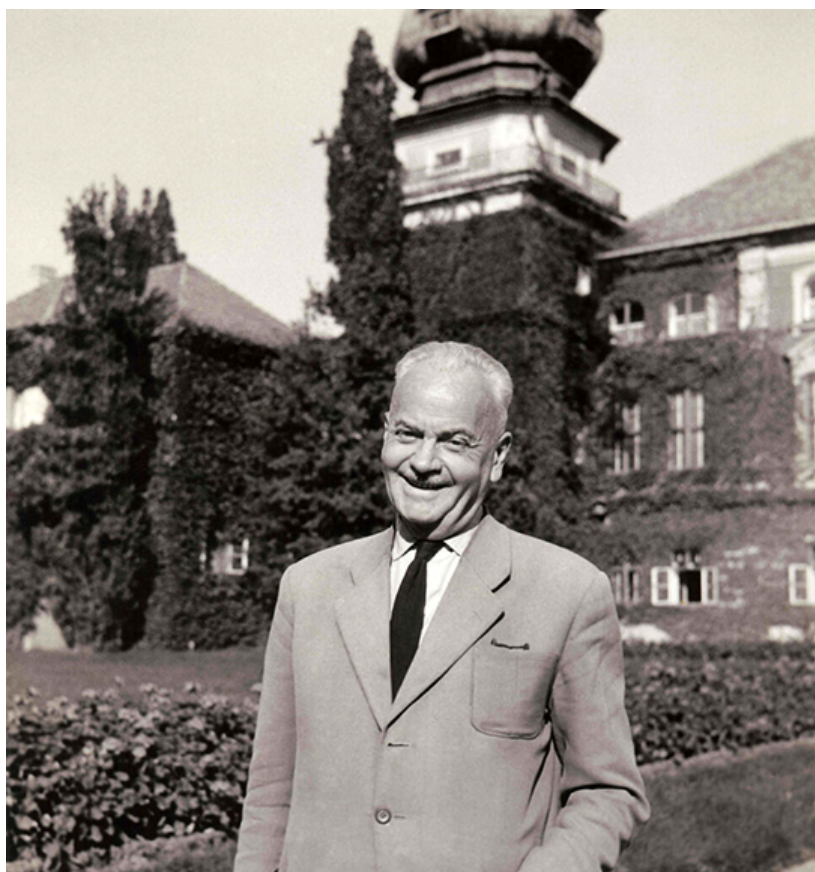


Entuzjasta oddany kulturze

Rozmowa z Zuzanną Guzel – Szczepiórkowską, autorką książki „Antoni Duda-Dziewierz w Łańcucie 1952-1972”.



Dyrektor Antoni Duda-Dziewierz przed Zamkiem w Łańcucie, lata 60., fot; Lucjan Fogiel, arch. rodzinne
Joanna Sokołowska-Gwizdka (Austin, Teksas):

Pani Zuzanno jest Pani wnuczką wieloletniego dyrektora Muzeum-Zamku w Łańcucie - Antoniego Dudy-Dziewierza. Wielokrotnie słyszałam od zaprzyjaźnionej pani kustosz Powozowni Zamkowej w Łańcucie - Teresy Żurawskiej, jak wiele Pani Dziadek zrobił dla Łańcuta, jak bardzo był zasłużony dla kultury i jakim wspaniałym był człowiekiem. Ale z zawodu jest Pani lekarzem onkologiem, to odległa dziedzina od historii sztuki, muzealnictwa czy biografistyki. Skąd zatem pomysł, żeby napisać książkę o Dziadku?

Zuzanna Guzel-Szczepiórkowska (*Warszawa*):

Postać Dziadka przez szereg lat bardzo intensywnie mi towarzyszyła. Tak dalece, że chciałam iść w jego ślady, chciałam być mu podobną - działać tak jak on, jak on mieć taką energię, taką siłę, takie inicjatywy i takie osiągnięcia.

Aby dobrze zacząć, zdecydowałam o studiowaniu konserwacji zabytków. Akurat w moim roczniku studia były możliwe tylko w Toruniu, co mi nie odpowiadało. Dostałam się w Warszawie na medycynę. W ten sposób kontynuowałam profesję obydwójga rodziców. Studia okazały się bardzo ciekawe, a praca zajmująca, choć wyczerpująca emocjonalnie i obciążająca psychicznie.

A o pisaniu biografii Dziadka nie myślałam wcale. W młodości

miałam z nim doskonały kontakt. Zarówno we wczesnym „łańcuckim” dzieciństwie jak i w latach późniejszych, bo kiedy w 1972 roku sprowadzili się do Warszawy, ten kontakt się odnowił. Szczególnym czasem jego zacieśnienia był nasz wspólny wyjazd do Stanów Zjednoczonych w 1975 roku na zaproszenie Teresy Garbulińskiej. Dziadek miał wówczas 80 lat, a ja 14. Ten wyjazd ponownie nas do siebie zbliżył, ale na pewno nie zadałam mu wtedy żadnych ważnych pytań i nie przeprowadziłam żadnych istotnych rozmów, które po latach pomogłyby mi napisać książkę. Jako nastolatka miałam zupełnie inne sprawy na głowie, dużo ważniejsze.

A teraz, jak już dojrzałam do tematu, postanowiłam informacje o Dudzie-Dziewierzu zamieścić na stronie internetowej Muzeum-Zamku. I z tą inicjatywą wystąpiłam do Dyrektora Muzeum, który wyraził zgodę. Ale to Wrzesław Żurawski – syn wspomnianej Teresy Żurawskiej i Jerzego Żurawskiego, kustosa Muzeum w Łańcucie z czasów zarządzania mojego Dziadka – przekonał mnie, że pisanie życiorysu na jedną stronę czy zakładkę internetową to za mało, że Dziadkowi należy się dużo więcej. I to był początek drogi.



Antoni Duda-Dziewierz z wnuczką Zuzanna na Sali Balowej w Zamku w Łańcucie, 1962 r., fot. arch. rodzinne

Od dwóch lat tropię losy Antoniego. Frapujące zajęcie! Okres pracy w Łańcucie opisałam jako pierwszy. Był mi emocjonalnie najbliższy i miałam najwięcej materiałów archiwalnych. Do tego spotkałam się z wielką życzliwością zarówno dawnych jak i obecnych pracowników Muzeum oraz samych mieszkańców Łańcuta, zainteresowanych powojenną historią tego zabytku.

Poznawanie losów bliskich jest zapewne wciągające i czuje się Pani jak detektyw. Nie mniej jednak pisanie wymaga nie tylko zaangażowania, ale i wiedzy. Jak ją Pani zdobywała?

Przed przystąpieniem do pisania zaczęłam przeglądać archiwa, które miałam w domu. Bardzo się zdziwiłam, bo tam było mnóstwo różnych oderwanych notatek, listów, wycinków z gazet, jakieś zdjęcia, oczywiście niepodpisane - elegancka pani z parasolką, uśmiechnięty pan w kapeluszu, albo sprawozdanie z Krasicy z I półrocza 1969 r. - dlaczego akurat to sprawozdanie? Początkowo nie potrafiłam sobie z tym poradzić.

Tymczasem Duda-Dziewierz zbierał tylko te dokumenty, które mogły mu posłużyć do napisania wspomnień. Bo nosił się z tym zamiarem. Ale nie napisał. Ja mam do niego oczywiście wielki żal, że nie napisał, bo byłoby dużo łatwiej, gdyby zostawił po sobie wspomnienia. Można by je po prostu opublikować. Zachowałyby świeżość jego myśli, autentyczność przekazu.

A tak zostałam z takim stosem różnych kartek, które początkowo w ogóle mi się nie układały w żadną całość. I dopiero po długim czasie, jak już zapoznałam się z archiwami Biblioteki Narodowej i przeczytałam różne opracowania, dotarło do mnie, że to jest zbiór celowy - zbiór takich wyznaczników - o czym chciałby napisać. Wyobrażam sobie, że brałby do ręki taką kartkę czy takie zdjęcie i patrząc na nie opisałby fragment swojego życia. Mnie też w końcu się udało: pani z parasolką to hrabina Alfredowa Potocka podczas pobytu na Zamku w Łańcucie, pan w kapeluszu to Minister Kultury Garstecki wizytujący Zamek w Baranowie, a sprawozdanie z Krasicy dotyczyło decyzji, które

zdeteterminowały losy tego zabytku już na zawsze.



Izabella Alfredowa Potocka z dyrektorem Antonim Duda-Dziewierzem w Łańcucie, 1972 r., fot. arch. rodzinne

Co według Pani może zainteresować współczesnego czytelnika w Pani książce?

Książka opowiada o latach 50.-60. To czasy „słusznie minione”, ale niesłusznie pomijane we współczesnej opowieści o naszej powojennej historii. Nie wszystko było w nich złe i groźne. Były

postawy pozytywne. Były działania godne. I to w warunkach naprawdę trudnych, niesprzyjających. Zarówno w tym najwcześniejszym okresie odbudowy kraju jak i w latach późniejszych.

Myślę, że każdy, kto zdecyduje się do tej książki zajrzeć, znajdzie jakiś ciekawy rozdział dla siebie. Bo rozdziały są bardzo różnorodne: jedne mówią o dewastacji tego obiektu we wczesnych latach 50., inne o entuzjazmie odbudowy zabytku, ale też o klimacie politycznym tamtych lat. Jest o współpracy z PTTK, o wizycie hrabiny Alfredowej Potockiej. Jest sporo o planach, które się nie udały - z różnych powodów, różnych a jednocześnie bardzo typowych. Jest rozdział o skansenie, o Krasiczynie, o Przeworsku, o Żarnowcu, ale też o Malborku - bo to był bardzo interesujący element życiorysu dziadka, dlatego pozwoliłam sobie szczegółowo go opisać.

Na jakie napotkała Pani trudności podczas pisania?

Niewątpliwie poważną trudność stanowiło to, że nie jestem literatem, pisarzem, dziennikarzem, a musiałam się zmierzyć z tematem, który był mi zupełnie obcy, więc to jest ta trudność, którą, mam nadzieję, pokonałam przyzwoicie.

No i bardzo trudno było mi pojąć panujące w tamtych czasach relacje, więc być może popełniłam jakieś błędy - nie wykluczam,

że są pewne niedociągnięcia.

I jeszcze ta wielka sztuka, aby zachować całkowitą bezstronność. To co pisałam nie dotyczyło osoby mi obcej tylko Dziadka, więc ta bezstronność mi się nie udała.

Ale ponieważ rozumiałam swoje ograniczenia, to nie napisałam tej książki od siebie. Oddałam w niej głos tym, którzy są znawcami tematu i ich wypowiedzi i opowieści zamieściłam.



Antoni Duda-Dziewierz z pianistką, Teresą Garbulińską w Łańcucie, 1959 r, fot. arch. rodzinne

Duda-Dziewierz miał w sobie jakieś niewyobrażalne pokłady entuzjazmu i wiary w człowieka, w jego możliwości sprawcze. Wydawało mu się, że tyle dobrych rzeczy dla społeczeństwa może zdziałać. Tę energię i optymizm przywiózł ze sobą do

Łańcuta. I właśnie tej energii, tej pasji działania należy mu zazdrościć. Bo nie zniechęcały go niepowodzenia. Jego życie to nie było wcale wielkie pasmo sukcesów. Raczej pasmo nieustanych zmaganiań.

Jak Pani myśli, które z cech Dziadka Pani odziedziczyła?

Myślę, że na pewno mam jedną cechę, którą on miał – i to mnie raduje. A mianowicie upór w dążeniu do realizacji powziętego zadania. To się zmaterializowało w przypadku wmurowania, w październiku 2022 r. w łańcuckim Muzeum, tablicy upamiętniającej Antoniego Dudę-Dziewierza, teraz w postaci tej pięknej książki, a w niedługim czasie zrealizuje się w pełnej biografii Dziadka, nad którą pracuję. Założyłam też stronę internetową, gdzie zamieszczam część z tych informacji i archiwalnych zdjęć, żeby można było do nich sięgnąć w dowolnym momencie.

Zapraszam zatem do czytania.



Zuzanna Guzel-Szczepiórkowska

Antoni Duda-Dziewierz w Łańcucie 1952 - 1972



W październiku 2022 r. w Muzeum-Zamku w Łąncucie
wmurowano tablicę upamiętniającą zasługi
Antoniego Dudy-Dziewierza - dyrektora Muzeum
w latach 1952-1972, człowieka, którego aktywność przy
odbudowie rezydencji łańcuckiej jest wciąż żywo pamiętana.
Jak udało się podźwignąć z powojennych zniszczeń
posiadłość, która dokumentowała przeszłość
potępianą przez ówczesne władze?
Dlaczego lokalna społeczność wsparła wysiłki
człowieka „z nadania” Warszawy?
Jaki był Antoni Duda-Dziewierz i czy zrealizował
wszystkie swoje zamierzenia?
Próbę odpowiedzi zawarłam w tej książce.

Zuzanna Guzel-Szczepiorkowska



ISBN 978-83-964615-5-1

Książka jest dostępna na Allegro.

*

*

Strona poświęcona Antoniemu Duda-Dziewierzowi:

Start

Zobacz też:

Sześćdziesiąt muzycznych wiosen

Historia w karetach zaklęta

Ze wspomnień starego lokaja

Teatrzyk zamkowy w Łańcucie za pierwszego ordynata
Alfreda Potockiego w latach 1816-1862.

Miłość, która przetrwała rozłąkę

Jolanta Łada-Zielke (*Hamburg*)

Moi pradziadkowie ze strony mamy pochodzili z Kresów Wschodnich i byli rówieśnikami. Kazimierz Dołęga-Wierzbowski, syn nadzorcy majątku w Jaryczowie, już w wieku szesnastu lat (1901) rozpoczął pracę w Zarządzie Lasów Ordynacji Łańcuckiej Potockich. W styczniu 1914 roku poślubił Józefę z Makolondrów, rodowitą lwowiankę, która ukończyła Szkołę Gospodarczą dla Dziewcząt w Wiedniu. Kiedy wybuchła wojna, został powołany do austriackiego wojska i po „bitwie galicyjskiej” we wrześniu 1914 r. dostał się do niewoli rosyjskiej. W momencie narodzin córki Zofii (listopad 1914) przebywał w Charkowie, a od 1917 roku w Kijowie.

Józefa Wierzbowska przez całą wojnę pracowała jako nauczycielka w jednej z lwowskich szkół. Dzięki studiom w Wiedniu władała biegle językiem niemieckim. Kiedy Lwów zajęli Rosjanie, wprowadzili zakaz używania „języka wrogów”, za którego przekroczenie groziły wysokie kary pieniężne. Józefa mówiła na co dzień wyłącznie po polsku. Na fotografiach z tamtego okresu prezentuje się jako przystojna dama o surowym wyrazie twarzy, w jasnej garsonce z długą spódnicą, białej bluzce i kapeluszu w ciemniejszym kolorze. Maleńką Zosię ubierała w białą bluzeczkę z szerokim kołnierzem, dwuwarstwową spódniczkę, rozpinany sweterek i zgrabne półbuciki.

Dziewczynka nosiła też biały kapelusik z rondem wywiniętym do góry i opadające podkolanówki. Tak prezentują się na fotografii wykonanej w zakładzie „Kordian” przy ulicy Łyczakowskiej 9. Na ich wcześniejszym zdjęciu widnieje znak firmowy zakładu fotograficznego „Apollo” i adres - Łyczakowska 10. Czyżby dwa konkurencyjne zakłady fotograficzne obok siebie, czy ten sam, tylko ze zmienioną nazwą i numerem lokalu?



Ślub Józefy i Kazimierza



Babcia Wierzbowska z babcią Zosią

Matka zostawiała Zosię samą w ich mieszkaniu przy ulicy Kochanowskiego, a w ciągu dnia posyłała do niej którąś z uczennic jako opiekunkę. Prawie codziennie pisywała do męża na specjalnych kartkach pocztowych, udostępnianych przez Czerwony Krzyż, najpierw do Charkowa, później do Kijowa. Adres należało wpisywać w dwóch językach, polskim i rosyjskim. Odwrotną stronę, przeznaczoną na korespondencję, wypełniała drobnym pismem, żeby na małej powierzchni zmieścić jak

najwięcej słów. Nawet kiedy dzisiaj się to czyta, wywołują wstrząsające wrażenie, są bowiem przepełnione niewyobrażalną tęsknotą.

Lwów, dnia 23 października 1916.

Najdroższy, Ukochany mój Kazieńku! Ucieszyłam się niezmiernie wiadomością od Ciebie, czekałam bardzo długo, prawie 2 miesiące, możesz sobie wyobrazić, jak się tem strasznie martwiłam, boć Ty Kazieńku Jedyny jesteś dla mnie wszystkim, cały świat mnie nie obchodzi, Ciebie Jednego kocham nad życie. Zochna nasza codziennie prosi Bożę o szczęśliwy i jak najprędzszy powrót Drogiego naszego Tatusia. Maleństwo swoim szczebiotem rozwesela mnie, bodaj na chwilę zapominam o tem osamotnionem obecnem życiu...

Odpowiedzi od Kazimierza przychodziły nieregularnie, często z paromiesięcznym opóźnieniem. Przebijała z nich troska o zdrowie małżonki i wychowanie córki.

Kijów, 27 marca 1917.

Najdroższa Józio! Już blisko dwa miesiące jak nie mam

wiadomości od Ciebie, ostatnią kartkę otrzymałem z 5 stycznia w miesiącu lutym. Ja, chwała Bogu jestem zdrow, mam posadę przy tartaku, zarabiam nieźle. U was zapewne już wiosna, a tu dotychczas jeszcze ciągle zima trzyma. Bardzo tęsknię za Tobą i w ogóle jest mi smutno tembardziej, że jestem sam bez znajomych. O was ciągle myślę, jak tam żyjecie i czy jako tako powodzi wam się. Bardzo Cię proszę, byś się nie denerwowała i żyła spokojnie, czekając cierpliwie końca, z tą mocną nadzieją, że powetujemy straty nasze i urządzimy sobie życie, jakie nam samym podobać się będzie. Ucałowania jak najczulsze zasyłam i Zochę ściskam. Twój na zawsze Kazimierz.

Lwów, dnia 14 kwietnia 1917.

Najdroższy, Ukochany mój Kazieńku! Pismo od Ciebie dodaje mi werwy do pracy, bo to życie moje obecne strasznie smutne i monotonne. Oddałabym połowę życia mego, ażeby Cię móc zobaczyć. Gdyby nie nadzieja, że przecież temu wszystkiemu koniec będzie, to możnaby oszaleć. Zochna jak zwykle zgrabna i fertyczna, ale straszny wisus, usposobienie chłopca. Wkrótce przyślemy Ci naszą fotografię, ale chciałybyśmy mieć Twoją. Całuję Cię i ściskam jak najgoręcej. Józia.

Kijów, 30 czerwca 1917.

*Najdroższa Józko! Posyłam ci swoją podobiznę.
Fotografowałem się zimą. Dzięki Bogu zdrów jestem.
Zasyłam najserdeczniejsze ucałowania.*



Kazimierz Wierzbowski w niewol rosyjskiej

Na tej „podobiznie” stoi przystojny mężczyzna z wąsem i w

wysokich butach, oparty o coś w rodzaju obudowy kominka. Ale i on miewał momenty załamania.

Najdroższy, ukochany mój Kazieńko! Już trzy lata upłynęło naszej strasznej rozłąki, a jednak mimo że boleję bardzo nad tem, nie tracę nadziei, że przecież i dla nas zajaśnieje horyzont i dzisiaj czuję się więcej spokojniejsza aniżeli na początku. Przykro mi bardzo, gdyż z Twojej korespondencji skonstatowałam, że Ty Najukochańszy mój Kazieńko jesteś zdenerwowany w najwyższym stopniu i zaczynasz nawet tracić ochotę do życia. Proszę Cię, odpędź te przykre myśli, nie poddawaj się tej depresji duchowej, myśl zawsze o tem, że i ja również muszę cierpieć, a jednak znoszę wszystko w imię miłości bezgranicznej dla Ciebie i dziecka. A zatem Mężuniu mój jedyny uspokój się i proś Boga o zdrowie. My również z Zosieńką modlimy się o Twój szczęśliwy powrót...

Kiedy Zosia miała dwa lata, pojawiła się możliwość spotkania z Kazimierzem w Kijowie, na co Józefa otrzymała specjalne zezwolenie. Pojechały tam pociągiem w wagonie trzeciej klasy, w strasznym ścisku. Dziewczynka usadowiła się na twardej, drewnianej ławce. Matka przez chwilę podróżowała na stojąco, aż w końcu wzięła małą na kolana.

- Bądź grzeczna i siedź cicho - przykazała jej - jedziemy do taty,

on jest w niewoli u Moskala.

Zosia była ciekawskim i trochę niesfornym dzieckiem, jednak na swój sposób rozumiała powagę sytuacji. Siedziała więc poważna, skupiona, od czasu do czasu grożąc sama sobie paluszkami i powtarzając cichutko: „Tata woli kała, tata woli kała...”

Pobyty obu pań Wierzbowskich w Kijowie trwały kilka dni. Po burzliwych powitaniach cała rodzina wybrała się na spacer po ulicach miasta. Rozdzieleni małżonkowie nie mogli się sobą nacieszyć. Zosię całkowicie absorbowano poznawanie świata. Na jednej z wystaw sklepowych spostrzegła konia na biegunach i zaczęła nudzić rodziców, żeby jej go kupili. Jej prośby stawały się coraz bardziej natarczywe. Wtedy dostała pierwszego klapsa od ojca. A kiedy byli już niedaleko domu, w którym Kazimierz miał kwaterę, zapragnęła nagle przejechać się tramwajem.

- Ale my już prawie jesteśmy w domu - próbował tłumaczyć ojciec.

Dziewczynka upierała się jednak przy swoim. Rodzice weszli z nią do jakiejś bramy i znów dostała parę razy po pupie.

- I co, chcesz jeszcze jechać tramwajem? - zapytał Kazimierz.

- Nie - odburknęła.

Po tej krótkiej wizycie matka z córką wsiadły do pociągu w miejscowości Popielna, aby wyruszyć z powrotem do Lwowa.

Parę miesięcy później wybuchła w Rosji rewolucja. Niektórzy jeńcy carscy zostali uwolnieni, ale Kazimierza nie wypuszczono. Jesienią 1919 roku napisał do żony długi list.

Najukochańsza Józko! Zapewne musiałaś pisać do mnie, lecz ja już siedemnaście miesięcy nie mam od Was najmniejszej wiadomości. Listy wysyłałem do Ciebie i Mamci, za pośrednictwem różnych ludzi, którzy przedzierali się przez front, lecz czy Ci doręczono? W 1919 r. w lipcu chciałem przedostać się do Galicji, w tym celu wyjechałem do Mińskiej Guberni. Front polski był nawet bardzo blisko, lecz niestety, nie tylko, że nie udało się moje przedsięwzięcie, lecz straciłem na to morze pieniędzy. Przeżyłem okropne czasy o głodzie i chłodzie, ustawiczne przewroty polityczne, a w rezultacie utrzymanie się władzy bolszewickiej na Ukrainie przez długi stosunkowo okres czasu. Co ludzie wycierpieli, tego opisać się nie da. Nic zarobić nie można było, ratowało mnie to, że miałem rzeczy i trochę oszczędzonych pieniędzy i jako tako egzystowałem. Drożyzna była tu wprost nie do opisanania. Wprawdzie otrzymywałem 1000 rubli miesięcznie,

lecz cóż z tego, kiedy chleb kosztował od 80 do 100 rubli za funt.

Pomimo tak ciężkich warunków, umiałem sobie jako tako radzić, a nawet coś nie coś zaoszczędzić, by z próżnemi rękoma nie wracać do domu i mieć od czego nowe życie zacząć. Na nieszczęście zachorowałem tego roku na tyfus plamisty, chorobę przechodziłem bardzo ciężko, wyzdrowienie moje zawdzięczam opiece, jaką miałem. Leżałem bez przytomności, jednym słowem było ze mną bardzo źle. Dzięki temu, że serce u mnie zdrowe, chorobę przetrzymałem. Cały czas leczenia kosztował mnie 50 tysięcy rubli, a zatem wszystkie swoje oszczędności i część rzeczy na to przeznaczyłem i wyekspensowałem się kompletnie, w danej chwili nie mam nawet za co wyjechać. Jest to dla mnie o tyle bolesne, że nadzieje moje spełzły na niczem. Myślałem, że mając trochę gotówki, po powrocie będę mógł nasze życie jako tako znośnie urządzić.

Obecnie przychodzę do zdrowia, lecz jestem jeszcze bardzo osłabiony. Proponują mi tu korzystną posadę w banku, lecz ja już nie mam sił dłużej tu siedzieć, tembardziej, że dla Ciebie strona to obca i tęskniłabyś, a zresztą nie chcę się tu już niczego dorabiać – za ten zarobek nie mogłem w swoim czasie wyjechać i tyle wycierpiałem. Na razie komunikacji do Lwowa nie ma, chodzą tylko pociągi wojenne. Jak tylko

będzie możliwość, bezzwłocznie wyjadę.

Tak jestem ciekaw, co tam słyszeć, jak żyjesz, zapewne Zosia rozpuszczona. Marzę o tym, by móc już raz znaleźć się wśród Was i chociażby mi Bóg dał kilka lat spokojnie żyć z Tobą.

Wybacz najdroższa Józio, że list może nie bardzo czuły, lecz jestem jeszcze tak słaby i swoim położeniem przelękniony, że doprawdy nie jestem w stanie zdobyć się na list więcej przyjemny. List posyłam okazją, również nie jestem pewny, czy dojdzie. Zasyłam jak najczulsze ucałowania, Zosię ściskam serdecznie. Twój uważnie Cię kochający Kazimierz

Kijów 16/V/1920.

Zdaje się, że nie tak prędko będę mógł wyjechać, ponieważ władze wojskowe robią wielkie trudności z wydawaniem przepustek.

Korespondencja wojenna

Dijon 24. marea 1917.

Stajrovdia Jovi! Jini blicku twa miruzca jad uic
uauud wroslowicis! ja piabir, ostatung karthy stroyanata
2 5 stroyica 4 muszicua lutyina ja chrata Stajrovdia
postun p. pr. uauud prowd's pruz tartachin uauud
nie 2 le. 4 was capuzic jini musua, a tu stroyaberas
cawicid sigzle uicua. Stajrovdia - Stajrovdia
ka To by i k opole jantuchentus tambardiac' in
jantuchentus uauud kuc pruzanuzch. O was sigzle uic' 6
jantuchentus uic' jantuchentus, cy jantuchentus prowdi trau sig.
Stajrovdia sig pruz sig uic 70 uauudwara, cy 70 stajrovdia
crotajze exaploric kostca 2 cy muszic uauud, ja
fantuchentus stroy uauud i jantuchentus uauud uic' jantuchentus
uauud jantuchentus stajrovdia sig kuc uauud uauud uauud
uauud uauud i stajrovdia sig in uauud kuc uauud

Dvorc Dnie 14. kwintia 1917

Stajrovdia uauud muj kamirka! Od tygodnia prauud
uic jantuchentus uauud, uauudwara, uauudwara karta
datowana 26 stajrovdia, jantuchentus uauud, jantuchentus
cy pruz, cy 70 jantuchentus jantuchentus stajrovdia uauud
uauudwara. Od datowana jantuchentus jantuchentus uauud, jantuchentus
uic muj kuc uauud, jantuchentus uauud, jantuchentus
jantuchentus jantuchentus uauud kuc jantuchentus, jantuchentus
uauud. Dny p kamirka, jantuchentus uauud sig uauud,
karta jak sigzle jantuchentus i jantuchentus uauud
stajrovdia uauud, uauudwara uauud. Uauud
jantuchentus 2: uauud jantuchentus, uauud uauud
uauud jantuchentus jantuchentus sig uauud jak uauudwara



Kazimierz powrócił do rodziny dopiero po wojnie polsko-bolszewickiej, przedzierając się przez niespokojne tereny powstałej właśnie Ukraińskiej Republiki Ludowej, w towarzystwie przewodnika, który co jakiś czas przystawał i kazał sobie dodatkowo płacić. Zupełnie jak maszynista z powieści „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego, który zatrzymywał pociąg jadący do Polski i zarządzał „remontik”. Kazimierz rad nierad płacił, aż w końcu wydał wszystko, co miał. Wtedy złapał kompana za gardło, potrząsnął nim trochę, pogroził, a ten już

bez sprzeciwu i jakichkolwiek żądań poprowadził go w kierunku granicy. Kiedy Kazimierz stanął na progu lwowskiego mieszkania, miał ze sobą niewielki tobołek, a w nim między innymi fotografię pięknej, jasnowłosej kobiety.

- To tamtejsza - tłumaczył żonie i córce - chciała, żebym z nią został. Mówiłem jej, że mam w Polsce żonę i dziecko, a ona na to: *napliwat* na nich!

W pamiątkach po pradziadku znalazłam jeszcze inną fotografię przystojnej pani, z dedykacją na odwrocie, napisaną w języku rosyjskim: - *Mojemu wielce drogiemu przyjacielowi Kazmierzowi Edmundowiczowi od Loliczki*. A więc rzeczywiście miał go kto pielęgnować w czasie choroby, jak pisał w liście. Ale najważniejsze, że wrócił.

Rodzina Wierzbowskich przeniosła się do miejscowości Wydrze w powiecie żołyńskim, gdzie Kazimierz objął posadę Zarządcy Lasów Ordynacji Łańcuckiej hrabiego Alfreda Potockiego, którą to funkcję sprawował oficjalnie do 1933 roku. Jak opisuje Stanisław Kłos, obecnie teren Wydrza to rezerwat przyrody - *obejmujący wierzchowinę morenowego wzniesienia, porośniętą lasem mieszanym, z dominującym udziałem starodrzewu bukowego o charakterze buczyny karpackiej, stanowiącego*

osobliwy relikw w Kotlinie Sandomierskiej. Tu też znajdują się skupiska modrzewia polskiego.[1]

Leśniczówka, stanowiąca wówczas służbowe mieszkanie Kazimierza i jego rodziny, położona jest w północno-zachodniej części wsi, niedaleko odgałęzienia drogi w kierunku Julina.[2] Pałac myśliwski hrabiego Potockiego w Julinie podlegał też Wierzbowskiemu jako zarządcy.[3]

Józefa, nazywana w naszej rodzinie „babcią Wierzbowską”, która objawiała się w listach do Kazimierza jako kochająca i czuła małżonka, w stosunku do innych członków rodziny była surowa i despotyczna. Zawsze mówiła to, co myślała, a to nie przysparzało jej przyjaciół. Raz złożyła w kuratorium oświaty skargę na jednego z nauczycieli Zosi, który potem z zemsty próbował utracić ją na egzaminie maturalnym. Kazimierz Wierzbowski był sprawiedliwy, ale i wymagający. Raz w gospodarstwie na Wydrzu, jedna z krów – Cyranka, zachorowała na zapalenie wymienia, bo służąca nie wydoiła jej dokładnie. Kazimierz zapowiedział dziewczynie, że ją wypoliczkuje, jeśli sytuacja powtórzy się z inną krową.

Zofia często przebywała poza domem, ale „nie krzywdowała sobie”, jak sama mówiła. Miała dobry kontakt z rodzicami i pisywała do nich długie listy. Ukończyła Żeńskie Seminarium Nauczycielskie Sióstr Boromeuszek w Łańcucie (obecnie Zespół

Szkół Nr 1 im. Janusza Korczaka). Kiedy po maturze przebywała wraz z matką w Zakopanem, przechodziły ulicą obok tamtejszej, renomowanej szkoły hotelarskiej. Przystanąły przed budynkiem i zajrzały do środka przez oszklone drzwi. Nagle Józefa wykrzyknęła z radosnym zdumieniem:

- Tatarzanka!

Dyrektorka placówki, panna Tatarzanka, która właśnie pojawiła się w hallu, była szkolną koleżanką Józefy z Wiednia. Dzięki temu niespodziewanemu spotkaniu Zofia, wprawdzie z opóźnieniem o jeden semestr, ale „wskoczyła” na pierwszy rok i ukończyła tę szkołę. Poznała tu swoją przyszłą szwagierkę, Eleonorę Annę Balicką. Kolejnym etapem jej edukacji była Szkoła Kosmetyczna doktora Rychwickiego w Krakowie, z której zachowało się świadectwo oraz zeszyt z notatkami. Znajdują się tam przepisy, między innymi jak sporządzić krem do cery suchej i jak działają różne substancje. Egzamin końcowy składał się z trzech przedmiotów: fizjologia i przemiana materii z endokrynologią, dermatologia ogólna oraz ćwiczenia praktyczne. Po ukończeniu szkoły Zofia miała zacząć praktykę w jednym z krakowskich zakładów kosmetycznych, ale wybuch II wojny światowej pokrzyżował jej plany i wróciła na Rzeszowszczyznę. To doświadczenie nastawiło ją sceptycznie do robienia planów na przyszłość. Uważała, że nie warto, bo w życiu pojawiają się czynniki od nas niezależne, które wszystko zmieniają.



Dom Wierzbowskich w Łańcucie, lata 30.

W 1938 roku Wierzbowsky ukończyli budowę domu w Łańcucie. Stanął na tak zwanym spadzie, czyli od strony ulicy Tkackiej wyglądał na dwukondygnacyjny, zaś od strony podwórza na jednokondygnacyjny. Tam, gdzie z Tkackiej widać było normalne okna w pokojach na parterze, z drugiej strony znajdowały się pomieszczenia piwniczne z małymi okienkami u góry. Zamieszkałe było głównie piętro, które składało się z czterech dużych pokoi oraz kuchni i łazienki. Każde pomieszczenie miało osobne wejście, a wszystkie były dodatkowo połączone

wewnętrznymi drzwiami.

Babcia Zosia nie „bałakała” typowo po lwowsku, z charakterystycznym, śpiewnym akcentem, aczkolwiek używała niektórych słów i zwrotów, wywodzących się z tamtejszej gwary inteligenckiej. Na garnek z długą rączką mówiła „rynka”, na młodą cebulkę z nacią „trybulka”, sernik nazywała „serowcem”, choinkę bożonarodzeniową „drzewkiem”, a krawcową „krawczynią”. Swego czasu spodobało mi się słówko „cypundrak”. Babcia nazwała tak kiedyś moją sympatię z czasów szkolnych. Prawdopodobnie też podobałam się temu chłopakowi, ale nie potrafił mi tego okazać, bojąc się wyśmiania przez kolegów.

- Daj sobie spokój z tym cypundrakiem - poradziła mi.

Po paru miesiącach, kiedy miałam już nowy obiekt zainteresowania, zapytałam babcię, kto to jest ten „cypundrak”.

- To takie „ni to, ni sio” - wyjaśniła.

Innymi słowy człowiek chwiejny, nie wiedzący czego chce, zachowujący się raz tak, raz inaczej. W czasach młodości mojej babci i prababci było takich zdecydowanie mniej, ale na pewno istnieli, bo skąd wzięłaby się ta urocza nazwa? W każdym razie mój pradziadek, który mimo siedmiu lat rozłąki „nie napliwał” na

pozostawione w Polsce żonę i córkę, nie okazał się „cypundrakiem”.

„Załubkami na żeniaczkę”

Podczas okupacji hitlerowskiej Kazimierz Wierzbowski został pacjentem doktora Władysława Balickiego, swojego przyszłego zięcia. Potrzebował stałej opieki lekarskiej, ponieważ skutki przebytego w niewoli rosyjskiej tyfusu poważnie zaciążyły na jego zdrowiu. Mocne serce, dzięki któremu wyszedł z choroby, bardzo się osłabiło. Doktor zalecił mu paromiesięczną kurację w Krynicy, dokąd Kazimierz udał się w lecie 1941 roku. Alfred Hrabia Potocki napisał do niego pod koniec lipca z Julina. Miał ładne, ale rozwlekłe pismo. W jednej linijce mieściły się zaledwie cztery wyrazy, więc trzy serdeczne zdania zajęły mu całą stronę.

Szanowny Panie! Julin bardzo pięknie wygląda i serdecznie mnie witał dorocznym zwyczajem, tylko smutno było bez Pana! Mam nadzieję, że kuracja i wypoczynek Panu dobrze robią i że Pan wnet do nas powróci. Oczekujemy Pana wszyscy! Łączę wyrazy prawdziwego poważania. Potocki.

Julia 25 lipca 1941

Stanowem Pani!

Julia bardzo przykro
wygląda i serdecznie
mię wita, dowiedziawszy
wyrazem, tylko smutno
było her Pana! mam
nadzieję, że jeszcze wypro-
szyć Panu dohę robie
i że Pan wnet do nas powróci
ochotliwie Pana wyzwy!

Łęcy wyraz
prawdziwego powołania
Potocki



Alfred hr Potocki

Leczenie sanatoryjne mojego pradziadka nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Najlepsze ośrodki, z największymi wygodami były wówczas „nur für Deutsche”, a Polakom pozostawiono domy wypoczynkowe drugiej, lub trzeciej kategorii, leżące na wzniesieniach. Kazimierz mieszkał właśnie w jednym z tych wyżej położonych i podczas każdej wędrowki bardzo się męczył. Kiedy wrócił do domu, Józefa natychmiast napisała list do doktora.

Krynica wywarła jak najfatalniejszy wpływ na stan zdrowia mojego Męża. Przede wszystkim zrujnował sobie zupełnie żołądek i z powodu braku apetytu opadł zupełnie na siłach. Obecnie stan jego zdrowia jest zupełnie niezadowolniający, wprawdzie chwilami trochę się polepsza, ale bardzo często brak mu tchu, przy tym stale cierpi na bezsenność.

Najbardziej niepokojącym objawem jest to, że ujawniła się prócz tego niedyspozycja wątroby i nerek, odczuwa dotkliwy ból przy głębszym oddychaniu. Jest więc obawa, czy nie ma coś wspólnego z płucami. Wobec tego prosimy bardzo wielce Szan. Pana Doktora o jak najrychlejsze przybycie.

Władysław był częstym gościem w leśniczówce na Wydrzu. Zofia zorientowała się, że wpadła mu w oko, choć początkowo nie miało to dla niej większego znaczenia. Zimą Władysław przyjeżdżał ze swojej rodzinnej wsi Woli Dalszej saniami zwanymi „załubki”, którymi powoził jego brat Emil; oficjalnie na wizytę do chorego, ale Emil śmiał się, że wozi Władka „na żeniączkę”. Załubki były przechowywane w stodole w gospodarstwie Balickich na Woli, ale już dawno rozsypały się ze starości.

Pewnego wrześniowego popołudnia 1942 roku obecność doktora Balickiego ocaliła rodzinę Wierzbowskich przed sześcioma ukraińskimi bandytami, którzy wtargnęli do leśniczówki podając

się za żołnierzy Armii Krajowej. Na Rzeszowszczyźnie wprawdzie nie odnotowano przypadków grasowania band UPA, ale mogły to być niedobitki większych oddziałów partyzanckich, które zostały najpierw rozbite, a potem połączyły się w mniejsze grupy i plądrowały okoliczne miejscowości.

Jeden z intruzów, prawdopodobnie przywódca, oznajmił, że potrzebują żywności i ubrań, po czym zaczęli bezceremonialnie buszować po domu i wynosić co cenniejsze rzeczy.

- Jacy z was żołnierze?! - zawołała oburzona Józefa. - Bandyci jesteście i tyle!

Wtedy dwóch zbirów przystawiło jej i Zofii pistolety do skroni. W tym momencie z sąsiedniego pokoju wyszedł Władysław, który właśnie skończył badać Kazimierza, z zawieszonym na szyi stetoskopem.

- *Eto wracz!* - zawołał na jego widok jeden z Ukraińców, a w tonie jego głosu słychać było szacunek. Bandyci nie zrobili nikomu krzywdy, zadowalając się rabunkiem. Po ich odejściu Wierzbowscy sporządzili dla posterunku żandarmerii w Łańcucie protokół z zajścia, w którym wymienili wszystkie zabrane rzeczy: piętnaście koszul męskich, osiem damskich, bieliznę, trzy męskie garnitury, dwie pary sportowych spodni, jedną damską garsonkę, gabardynowy płaszcz męski, skórzaną czapkę, materiał na

garnitur, dwa wełniane koce, trzy pary butów - męskich i damskich, dwie sukienki, czternaście par skarpetek, siedem par pończoch, dwadzieścia chusteczek do nosa, dwa obrusy, cztery prześcieradła, poszwy na kołdry i poduszki, cztery zegary, trzy pary nożyczek, scyzoryk, golarkę i nóż do golenia, trzy teczki skórzane, jedną torbę myśliwską, szkło powiększające i gotówkę w wysokości 5200 złotych. Protokół sporządzono na maszynie, a przy każdym zrabowanym przedmiocie wpisano jego wartość. Posterunkowy o nazwisku Lisowski, który przyjął protokół, poskreślał ołówkiem niektóre sumy i wprowadził inne, o trzy razy mniejszej wartości. Tym samym ołówkiem sporządził na osobnym arkuszu papieru notatkę w języku niemieckim:

Potwierdza się, że dnia 20. września 1942 r. na Wydrzu koło Żołyńii, sześciu uzbrojonych bandytów dokonało napadu rabunkowego na leśniczówkę. Wtedy, na szkodę Zarządcy Lasów Kazimierza Wierzbowskiego, zostały zrabowane wyżej wymienione rzeczy. Dochodzenie, prowadzone przez miejscowy posterunek policji, jak dotąd nie przyniosło rezultatów.

Śmierć na wygnaniu

Mimo że dom w Łańcucie został już wybudowany i urządzony, Wierzbowskich ciągnęło stale na Wydrze, być może ze względu na trudności z zaopatrzeniem w żywność w czasie wojny. Nie było tam jednak zbyt bezpiecznie, na co najlepszym dowodem jest wyżej opisany napad Ukraińców. Dopiero po tym incydencie i z powodu pogarszającego się stanu zdrowia Kazimierza, rodzina Zofii zdecydowała przenieść się na stałe do Łańcuta. Ale nie było im dane cieszyć się długo własnym kątem.

Ich dom spodobał się jednemu z miejscowych *volksdeutschów*, który zapragnął odnająć jego część, ale Wierzbowscy nie zgodzili się na to. Wówczas on opowiedział „komu trzeba”, jaka to atrakcyjna posiadłość znajduje się przy Webenstrasse, czyli ulicy Tkackiej. Wkrótce potem dom odwiedziło kilku żołnierzy niemieckich, którzy poprosili, żeby oprowadzić ich po obejściu. Wchodzili do pokoiów i oglądali każde pomieszczenie, komentując *hübsch, alles hübsch*[4]. Potem pożegnali i się i wyszli. Następnego dnia Wierzbowscy dostali nakaz natychmiastowej eksmisji. Ich posesja miała odtąd służyć za kwaterę dla niemieckiego oficera. Dokładnie w wigilię 1942 roku cała rodzina przeniosła się do mieszkania państwa Adamczaków, przy sąsiedniej ulicy Jana Cetnarskiego, (zwanej też Browarną), gdzie od tamtej pory gnieździła się w ciasnym pokoiku. Moja mama (córka Zofii) do dziś nie może zrozumieć, dlaczego nie poprosili hrabiego Potockiego o interwencję, bo on na pewno ująłby się za rodziną zaufanego pracownika. W tym

przymusowym schronieniu, 8 sierpnia 1943 roku, w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat zmarł Kazimierz. Był to ogromny cios, zwłaszcza dla Józefy. Całkowicie oddawała się rozpacz, więc córka sama musiała zająć się formalnościami pogrzebowymi. Z jednej strony trudno się dziwić, bo Józefa rozstała się z mężonkiem po raz drugi, po wspólnie przeżytych dwudziestu dwóch latach.



Narzeczeni - Zofia Wierzbowska i Władysław Balicki
Ów *volksdeutsch*, za którego sprawą wyrzucono Wierzbowskich z ich posiadłości, upatrzył sobie Zofię jako kolejną ofiarę swoich machinacji. Chciał, żeby wysłano ją do Niemiec na roboty, co się

nie udało, ponieważ miała pracę w Łańcucie i to aż w trzech miejscach: od 1940 roku jako pielęgniarka w lokalnym oddziale PCK, a także w ogrodach hrabiego Potockiego. W okresie narzeczeństwa Władysław wydał jej zaświadczenie, że zatrudnia ją w swoim gabinecie przy ulicy Konopnickiej jako „Bürohilfe”, czyli „pomoc biurową”. Ślub wzięli 12 lutego 1944 roku, w kościele parafialnym w Wysokiej Łańcuckiej, na pięć i pół miesiąca przed wyzwoleniem tych terenów, co nastąpiło 29 lipca. W dokumentach rodzinnych przechowało się kilka listów gratulacyjnych od krewnych i przyjaciół, którzy nie mogli przybyć na uroczystość z powodu wojennych trudności z komunikacją.

Przed opuszczeniem Łańcuta hitlerowcy podłożyli w piwnicy domu przy ul. Tkackiej bombę zegarową, która na szczęście została w porę rozbrojona. Młodzi państwo Baliccy wraz z Józefą powrócili do domu przy ulicy Tkackiej w 1945 roku. Władysław Balicki stał się wkrótce znaną postacią w całym regionie jako lekarz i społecznik, który pielęgnował lokalną kulturę. Jednym z jego osiągnięć było uratowanie przed rozbiórką łańcuckiej synagogi w 1955 roku. Ale to już zupełnie inna historia.

Przypisy:

[1] Stanisław Kłos, Łańcut i okolice, PUW „Roksana”, Krosno 1998, s. 7 i 71

[2] Por. Tamże

[3] Por. Zbigniew Pelc, Mój Łańcut, wyd. Techgraf - Łańcut Podzwierzyniec, 1997, s. 279

[4] Niem.: ładnie, wszystko ładne.

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego autorki.

Karnawał u Potockich w Łańcucie



Muzeum zamek w Łańcucie, fot. www.zamek-lancut.pl

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Alfred Potocki, ostatni łańcucki ordynat uwielbiał konie, polowania i wykwintne przyjęcia, które urządzała jego matka Elżbieta z Radziwiłłów, zwana „Betką”. Po śmierci ojca, Romana Potockiego, nowy ordynat Alfred wraz z matką zajęli apartamenty reprezentacyjne na pierwszym piętrze. Elżbieta Potocka, znana z zaborczego charakteru nie chciała dopuścić do tego, aby syn się ożenił. Skutecznie zrażała wszystkie potencjalne kandydatki na żony. A już na pewno nie mogła dopuścić do wielkiego skandalu towarzyskiego i ślubu z amerykańską aktorką, którą hrabia Potocki przywiózł do Łańcuta ze swoich wojaży. Na wielki opór w sprawie synowej, wpłynął też dawny obyczaj. Po ślubie syna - ordynata, matka - wdowa,

powinna opuścić reprezentacyjny apartament na pierwszym piętrze i przenieść się do bardziej kameralnych pokoi na drugim piętrze.


Alfred Potocki ożenił się więc dopiero po jej śmierci, na emigracji, przekroczywszy 70-tkę. Na słynnych łańcuckich balach i przyjęciach dla dyplomatów i utytułowanych gości, odbywających się głównie podczas karnawału, królowała więc matka łańcuckiego ordynata.

- Gdy zjeżdżali się Ci wszyscy ważni goście - wspominał nieżyjący już lokaj Potockich z pierwszego piętra, Aleksander Świątoniowski - mieliśmy bardzo dużo pracy i to prawie całą dobę. Potocki z matką przyjeżdżali do Łańcuta na Święta Bożego Narodzenia. Goście pojawiali się dopiero na Sylwestra i z reguły bawili do Trzech Króli. Potem ordynat jechał za granicę. Wracał w wakacje, lub jesienią w sezonie polowań. Później znów gdzieś wyjeżdżał. I tak co roku.



Elżbieta z Radziwiłłów Potocka, matka ostatniego ordynata w kostiumie karnawałowym, jako Szecherezada, Lwów, 1909 r., fot. arch. J. Sokołowskiej-Gwizdka

Tak więc Wigilię Bożego Narodzenia i Święta spędzano tradycyjnie, rodzinnie, w małym gronie. Wielkie przyjęcia zaczynały się od powitania Nowego Roku. Brat Alfreda, Jerzy, ożeniony z wnuczką prezydenta Peru – Susaną Yturregui y Orbegoso, zwaną Suzanitą, wieloletni ambasador Polski w Stanach Zjednoczonych, miał kontakty w kręgach dyplomacji. Łańcut, malowniczo położony wśród lasów na drodze w

Bieszczady, był więc wspaniałym miejscem spotkań polityków i dyplomatów. Tutaj w zaciszu, z daleka od stolicy, w przyjemnej atmosferze można było omówić ważne dla Polski problemy.

- Prowadziłem wtedy życie międzynarodowe i krąg moich przyjaciół ciągle się powiększał - pisał Alfred Potocki w swoich „Pamiętnikach”. - Przyjmując ich i robiąc z Łańcuta miejsce spotkań dla dyplomatów i wybitnych gości z zagranicy, byłem pewien słuszności swych usług dla swojego kraju.

Gośćmi ordynata Potockiego byli prezydent Mościcki, minister Beck, królowa Rumunii, księżstwo Kentu. Wizyty te hrabia Alfred starannie opisywał:



Alfred Potocki, IV ordynat (1886-1958), fot. Muzeum Zamek w Łańcucie

...król Ferdynand i królowa rumuńska Maria przybyli do Łańcuta o siódmej wieczorem. Matka i ja wyjechaliśmy przyjąć ich na dworcu i towarzyszyć aż do zamku. Byli na obiedzie w Sali Białej w towarzystwie czterdziestu gości. Królowa była ładna i miła. Para królewska obejrzała stajnie, stadniny i cieplarnie, potem pojechała konno ze Skrzyńskim, naszym ministrem spraw zagranicznych. Królowa jechała na „All Fourse”, jednym z moich ulubionych koni. Okazała się doskonałym jeźdźcem, pomimo błota. Mówiła z żalem o Piłsudskim, który właśnie złożył wizytę w Rumunii.

...Wiele mówiono w Łańcucie, gdy dowiedziano się, że księżę i księżna Kentu przybyli tam z wizytą - opisuje dalej hrabia Alfred. - Na dworzec przyjechali o pół do trzeciej po południu. Gdy wychodzili z wagonu zamkowa orkiestra zagrała „God Save the King”, potem pojechaliśmy do zamku pojazdem zaprzężonym a’la Daumont. Przed herbatą księżę spacerował ze mną, poszliśmy obejrzyć stadninę. Po obiedzie odbył się bal w dużym salonie. Beck z żoną przyjechali nazajutrz rano w towarzystwie naszego kuzyna Józefa. M.in. byli zaproszeni Johannes i Marizza Lichtensteinowie i brat mój Jerzy. Księżę nigdy nie był zmęczony rozrywkami. Oczarował mnie nie udawaną przyjemnością jaką odczuwał z pobytu w zamku. Nigdy nie było księcia bardziej naturalnego, jak ten piękny syn królewskiego domu Anglii, ze

swoimi ruchliwymi rysami i błyszczącymi oczami. Urodzony sportowiec, barczysty, atletycznej budowy, zgrabny, po całych dniach jeździł konno i tańczył aż do brzasku. Trzeciego wieczoru jego pobytu urządziliśmy obiad w kostiumach, potem nastąpiły szarady, w których księżę grał główną rolę. Portret jego nie byłby zupełny, jeśli nie powiedziałbym o jego uwielbieniu dla zachwycającej księżny, dawnej księżniczki greckiej, której obecność w Łańcucie była jednym z najmiłszych wspomnień.



Bal kostiumowy połączony z przedstawieniem amatorskim, Łańcut, Jadalnia Biała, ok. 1930 r. Elżbieta z Radziwiłłów Romanowa Potocka, Alfred Potocki, Jerzy Potocki, Suzanita Yturregui Potocka (przebrana za kucharza), żona hr Szembeka, wiceministra spraw zagranicznych Polski, fot. arch. J.

Sokołowskiej-Gwizdka

Polowania, muzyka i taniec stały się tradycyjną częścią sposobu życia. – *Ludzie zawsze tańczyli, ale nigdy tak jak wówczas* – wspomina Alfred Potocki. – *Londyn i Paryż szalały na punkcie tańca. Podobnie jak wszyscy nauczyłem się nowych tańców, gdyż krępującym było nie znać ich. Później nawet matka brała lekcje charlestona.* Staropolskie obyczaje nie zawsze jednak były zgodne z etykietą, a nadmiar spożywanego alkoholu nawet w tak wykwintnym towarzystwie, niósł za sobą nieprzewidywalne skutki. Pewnego roku jak zwykle w karnawale zamek tętniał życiem. Na jedno z przyjęć zaproszono ambasadora Francji. Gdy nad ranem większość biesiadników była już pijana, jeden z Sapiehów, staropolskim zwyczajem picia zdrowia niewiasty z jej trzewiczka, nalał do swojego buta pół butelki wina i poufale poklepując ambasadora po ramieniu poczęstował go trunkiem, wznosząc przy tym toast „za Polskę i gospodarzy”. Następnego dnia ordynat zapowiedział służbie, aby zapomnieli o tym niefortunnym incydencie. Niestety gazety francuskie się rozpięły, jak to w rodowej siedzibie polskiego arystokraty potraktowano dyplomatę. Hrabia Potocki i sprawca całego nieporozumienia, hrabia Sapieha długo jeszcze musieli przeproszać obrażonego gościa. Na usprawiedliwienie hr Sapiehy można tylko dodać, że trunki w Łańcucie mieli przednie, nigdzie indziej nie spotykane.

Dziad ostatniego ordynata, również Alfred, idący z duchem czasu

i powiększający łańcucką fortunę, założył w miasteczku gorzelnię. Z czasem gorzelnia się rozrosła, gdyż zapotrzebowanie na trunki Potockich było coraz większe. W dawnej Polsce wódkę pędziło się głównie we dworach, gdzie była ona na różne sposoby zaprawiana ziołami, korzeniami, robiona jako nalewka na pestkach owoców, cynamonie, anyżu, skórkach z pomarańczy. Były więc wódki: anyżówka, cynamonowa, kminkówka, ratafia, persico, krambambula itd. Natomiast w Łańcucie wyprodukowano prawdziwy alkoholowy poemat, zwany „rossolisem” według oryginalnej receptury Potockich. Był to rodzaj likieru o trzech podstawowych smakach, ziołowym, kawowym i różanym.

Gdy pod koniec wojny na tereny Polski wkroczyła Armia Radziecka, gorzelnię w Łańcucie wysadzili wycofujący się Niemcy. W aparacie destylacyjnym jeszcze pozostał alkohol, żołnierze radzieccy strzelali więc do kolumny destylacyjnej, po czym łapali tryskający spirytus do ust lub do hełmów. Jeden z żołnierzy zapalił się od papierosa i leży pochowany na łańcuckim cmentarzu.

Źródła:

Aleksander Świątoniowski - lokaj Potockich z pierwszego piętra,

rozmowa

Alfred Potocki: „Pamiętniki”, maszynopis, Muzeum-Zamek w Łańcucie.

Zabawy karnawałowe i słynne przyjęcia u Potockich w Łańcucie



Wizyta księcia Kentu Jerzego Windsora z małżonką Mariną w Polsce. Na zdjęciu hrabia Alfred Potocki, księżna Kentu Marina, księżna Elżbieta Lichtenstein (na tylnym siedzeniu z lewej) i towarzyszące im osoby podczas przejażdżki powozem, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Alfred Potocki, ostatni łańcucki ordynat uwielbiał konie, polowania i wykwintne przyjęcia, które urządzała jego matka Elżbieta z Radziwiłłów, zwana „Betką”. Po śmierci ojca, Romana Potockiego, nowy ordynat Alfred wraz z matką zajęli apartamenty reprezentacyjne na pierwszym piętrze. Elżbieta Potocka, znana z zaborczego charakteru nie chciała dopuścić do tego, aby syn się ożenił. Skutecznie zrażała wszystkie potencjalne kandydatki na żony. A już na pewno nie mogła dopuścić do wielkiego skandalu towarzyskiego i ślubu z

amerykańską aktorką, którą hrabia Potocki przywiózł do Łańcuta ze swoich wojaży. Na wielki opór w sprawie synowej, wpłynął też dawny obyczaj. Po ślubie syna - ordynata, matka - wdowa, powinna opuścić reprezentacyjny apartament na pierwszym piętrze i przenieść się do bardziej kameralnych pokoi na drugim piętrze. Alfred Potocki ożenił się więc dopiero po jej śmierci, na emigracji, przekroczywszy 70-tkę. Na słynnych łańcuckich balach i przyjęciach dla dyplomatów i utytułowanych gości, odbywających się głównie podczas karnawału, królowała więc matka łańcuckiego ordynata.

Gdy zjeżdżali się Ci wszyscy ważni goście,- wspominał nieżyjący już lokaj Potockich z pierwszego piętra, Aleksander Świątoniowski - mieliśmy bardzo dużo pracy i to prawie całą dobę. Potocki z matką przyjeżdżali do Łańcuta na Święta Bożego Narodzenia. Goście pojawiali się dopiero na Sylwestra i z reguły bawili do Trzech Króli. Potem ordynat jechał za granicę. Wracał w wakacje, lub jesienią w sezonie polowań. Później znów gdzieś wyjeżdżał. I tak co roku.

Tak więc Wigilię Bożego Narodzenia i Święta spędzano tradycyjnie, rodzinnie, w małym gronie. Wielkie przyjęcia zaczynały się od Powitania Nowego Roku. Brat Alfreda, Jerzy, ożeniony z wnuczką prezydenta Peru - Suzenitą, wieloletni ambasador Polski w Stanach Zjednoczonych, miał kontakty z

kręgami dyplomacji. Łańcut, malowniczo położony wśród lasów na drodze w Bieszczady był więc wspaniałym miejscem spotkań polityków i dyplomatów. Tutaj w zaciszu, z daleka od stolicy, w przyjemnej atmosferze można było omówić ważne dla Polski problemy. – *Prowadziłem wtedy życie międzynarodowe i krąg moich przyjaciół ciągle się powiększał* – pisał Alfred Potocki w swoich „Pamiętnikach”.

Przyjmując ich i robiąc z Łańcuta miejsce spotkań dla dyplomatów i wybitnych gości z zagranicy, byłem pewien słuszności swych usług dla swojego kraju.



Alfred Antoni Wilhelm Roman Bazyli Potocki, ostatni (IV) ordynat Łańcuta

Gośćmi ordynata Potockiego byli prezydent Mościcki, minister Beck, królowa Rumunii, księstwo Kentu. Wizyty te hrabia Alfred

starannie opisywał:

...król Ferdynand i królowa rumuńska Maria przybyli do Łańcuta o siódmej wieczorem. Matka i ja wyjechaliśmy przyjąć ich na dworcu i towarzyszyć aż do zamku. Byli na obiedzie w Sali Białej w towarzystwie czterdziestu gości. Królowa była ładna i miła. Para królewska obejrzała stajnie, stadniny i cieplarnie, potem pojechała konno ze Skrzyńskim, naszym ministrem spraw zagranicznych. Królowa jechała na „All Fourse”, jednym z moich ulubionych koni. Okazała się doskonałym jeźdźcem, pomimo błota. Mówiła z żalem o Piłsudskim, który właśnie złożył wizytę w Rumunii.

...Wiele mówiono w Łańcucie, gdy dowiedziano się, że księżę i księżna Kentu przybyli tam z wizytą - opisuje dalej hrabia Alfred - Na dworzec przyjechali o pół do trzeciej po południu. Gdy wychodzili z wagonu zamkowa orkiestra zagrała „God Save the King”, potem pojechaliśmy do zamku pojazdem zaprzężonym a'la Daumont. Przed herbatą księżę spacerował ze mną, poszliśmy obejrzeć stadninę. Po obiedzie odbył się bal w dużym salonie. Beck z żoną przyjechali nazajutrz rano w towarzystwie naszego kuzyna Józefa. M.in. byli zaproszeni Johannes i Marizza Lichtensteinowie i brat mój Jerzy. Księżę nigdy nie był zmęczony rozrywkami. Oczarował mnie nieudawaną przyjemnością jaką odczuwał z

pobytu w zamku. Nigdy nie było księcia bardziej naturalnego, jak ten piękny syn królewskiego domu Anglii, ze swoimi ruchliwymi rysami i błyszczącymi oczami. Urodzony sportowiec, barczysty, atletycznej budowy, zgrabny, po całych dniach jeździł konno i tańczył aż do brzasku. Trzeciego wieczoru jego pobytu urządziliśmy obiad w kostiumach, potem nastąpiły szarady, w których księżę grał główną rolę. Portret jego nie byłby zupełny, jeśli nie powiedziałbym o jego uwielbieniu dla zachwycającej księżny, dawnej księżniczki greckiej, której obecność w Łańcucie była jednym z najmiłszych wspomnień.



Wnętrze zamku w Łańcucie, 1937 r., fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Polowania, muzyka i taniec stały się tradycyjną częścią sposobu życia.

Ludzie zawsze tańczyli, ale nigdy tak jak wówczas - wspomina Alfred Potocki. - Londyn i Paryż szalały na punkcie tańca. Podobnie jak wszyscy nauczyłem się nowych tańców, gdyż krępującym było nie znać ich. Później nawet matka brała lekcje charlestona.

Staropolskie obyczaje nie zawsze jednak były zgodne z etykietą, a nadmiar spożywanego alkoholu nawet w tak wykwintnym towarzystwie, niósł za sobą nieprzewidywalne skutki. Pewnego roku jak zwykle w karnawale zamek tętniał życiem. Na jedno z przyjęć zaproszono ambasadora Francji. Gdy nad ranem większość biesiadników była już pijana, jeden z Sapiehów, staropolskim zwyczajem picia zdrowia niewiasty z jej trzewiczka, nalał do swojego buta pół butelki wina i poufale poklepując ambasadora po ramieniu poczęstował go trunkiem, wznosząc przy tym toast „za Polskę i gospodarzy”. Następnego dnia ordynat zapowiedział służbie, aby zapomnieli o tym niefortunnym incydencie. Niestety gazety francuskie się rozpięły, jak to w rodowej siedzibie polskiego arystokraty potraktowano dyplomatę. Hrabia Potocki i sprawca całego nieporozumienia, hrabia Sapieha długo jeszcze musieli przeproszać obrażonego gościa. Na usprawiedliwienie hr Sapiehy można tylko dodać, że trunki w Łańcucie mieli przednie, nigdzie indziej nie spotykane. Dziad ostatniego ordynata, również Alfred, idący z duchem czasu i powiększający łańcucką fortunę, założył w miasteczku gorzelnię. Z czasem gorzelnia się rozrosła, gdyż zapotrzebowanie na trunki Potockich było coraz większe. W dawnej Polsce wódkę pędziło się głównie we dworach, gdzie była ona na różne sposoby zaprawiana ziołami, korzeniami, robiona jako nalewka na pestkach owoców, cynamonie, anyżu, skórkach z pomarańczy. Były więc wódki: anyżówka, cynamonowa, kminkówka, ratafia, persico, krambambula itd. Natomiast w Łańcucie

wyprodukowano prawdziwy alkoholowy poemat, zwany „rossolisem” według oryginalnej receptury Potockich. Był to rodzaj likieru o trzech podstawowych smakach, ziołowym, kawowym i różanym.

Gdy pod koniec wojny na tereny Polski wkroczyła Armia Radziecka, w gorzelnię Alfreda Potockiego trafiła bomba, alkohol zaś rozpłynął się po okolicach. Żołnierze radzieccy, nie mogli wyjść z podziwu, jaki tu jest dobrobyt i jaka to wspaniała urodzajna ziemia, skoro wódka strumieniami płynie.



Wnętrze zamku w Łańcucie, 1937 r., fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Źródła:

Aleksander Świętoniowski – lokaj Potockich z pierwszego piętra, rozmowa.

Alfred Potocki: „Pamiętniki”, maszynopis, Muzeum-Zamek w

Łańcucie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Ze wspomnień starego lokaja

<https://www.cultureave.com/ze-wspomnien-starego-lokaja/>

Wesele, które
w karnawale
Marszałek Wielki
i Hetman Polny

Koronny Jerzy
Sebastian Lubomirski
wyprawił córcę swojej
na Łańcuckim Zamku
w 1661 roku

Polskie tradycje, polskie obyczaje



Widok od zachodu. Akwarela Thomasa de Thomona z końca XVIII w., fot. E. Baniukiewicz, Z. Wiśniowska, Zamek w Łańcucie, Arkady, Warszawa, 1980

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Wystawił ten świątobliwy pan drugą fortecę jakoby wpośród pola w Łańcucie, z ośmdziesiąt dział, puszkarzami, prochownią prowiantami, amunicyjami. Tamże zawsze trzymał circum circa piechoty czterysta, także wybranych z włości swoich i czterysta beczek wina dla traktamentu przyjaciół i braciej szlachty polskiej.

Tak Stanisław Czerniecki, Podstoli Żytomierski opisywał "Dwór,

Wspaniałość, Powagę i Rządy Jaśnie Oświeconego Księcia Stanisława Lubomirskiego, Chwalebneho Zwycięzcę Nad Osmanem Cesarzem Tureckim pod Chocimiem...”, ojca Jerzego Sebastiana. Oprócz zasług Księcia dla kraju i szczegółowego opisu dworu Czerniecki utrwalił wydarzenie, które przeszło do historii, ślub panny Konstancji Lubomirskiej, córki Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, z Felicyjanem Potockim. Ceremonia i wesele odbyły się po Świątach Bożego Narodzenia, w karnawale, kiedy to na pańskich dworach bawiono się hucznie aż do postu. Na dworze zatrudnionych było na stałe:

Kuchmistrzów szlachty dwóch, Kucharzów tak Francuzów, jako i Niemców z Polakami dwanaście i wozów po sześciu koni, dla nich i dla naczyń dwa. Pasztetników trzech a piekarzów czterech.

Przygotowanie wesela wymagało jednak zatrudnienia dodatkowych osób.

Jaki rozchód był na tym weselu, który był w mojej dyspozycji - pisze Czerniecki - snadno się domyślić może każdy z liczby kucharzów, których było siedemdziesiąt pięć, a tych zwożono z różnych miejsc, z Warszawy, Krakowa i Lwowa. Do tego Kuchen Wielkich cztery i kuchmistrzów

czterech. Z osobna pasztetników sześć, cukierników czterech Francuzów, którzy na miejscu w Łańcucie cukry robili.



Alegoryczny portret Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, ojca panny młodej, autor nieznan, fot. wikipedia

Nie sposób wymienić wszystkiego, co znalazło się wtedy na łańcuckich stołach, ale już kilka pozycji daje wyobrażenie o wielkości przyjęcia.

Na same stoły rozchód był takowy. Wołów karmnych - 60, Cieląt - 300, Bażantów - 500, Kapłonów karmnych - 3 000, Kapłonów dworowych - 3 000, Kur prostych - 8 000, Kurcząt par - 1 500, Gołembi par - 1 500, Indyków młodych - 1 500, Indyków starych - 500, Kaczek swojskich - 1 500, gęsi karmnych - 500, Wieprzów karmnych - 30, Prosiąt - 120, Jeleni - 24, Danieli - 30, Zajęcy - 300, Sarn - 45, Dzików - 4...

A oto jak Stanisław Czarniecki opisuje samo wydarzenie.

Naprzód przyjazd do Łańcuta Wojewody (Stanisława Potockiego) z Jego Synem (Felicijanem Potockim). Dostyć ozdobny, ludzi zacnych i rycerstwa poczet niemały, koni tureckich, bachmatów szmailskich, rumaków polskich sześćdziesiąt. W kawalkacie przyjaciół i usariej, pułkowników, wyborowych zacnych kawalerów półtora tysiący. Przeciw Tym Jaśnie Wielmożnym, Marszałek Wielki Koronny nie w mniejszym poczcie wyjechał, o pół milę do wsi Głuchowa. Na wjazd tych Ich MM do zamku Łańcuckiego, który był w piątek, z dział dwunastu na wał wytoczonych, dano ognia dwakroć, to jest 24 razy. Po ślubie, który był w Kościele w niedzielę na powrót z kościoła do zamku tychże Jaśnie Wielmożnych Ich Mościów dano ognia razy 24. za zdrowie

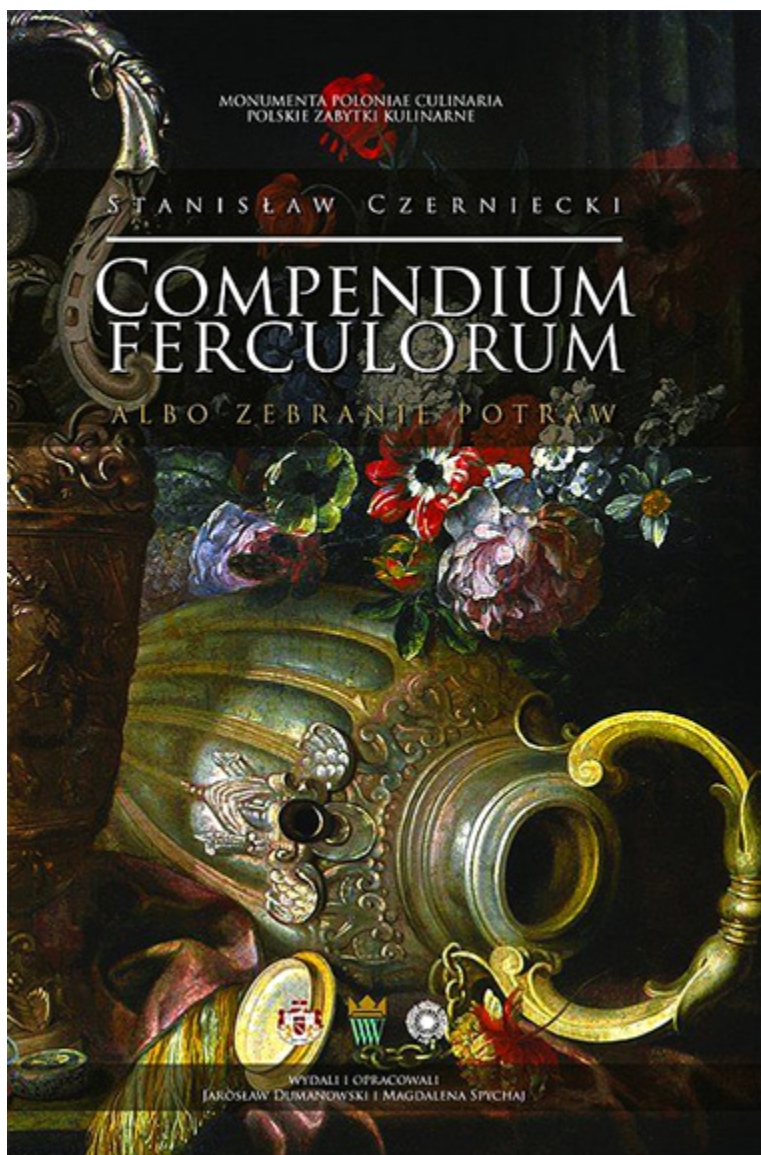
rycerstwa wszystkiego gdy wypijano, dano ognia 24 razy. Za zdrowie JW Hetmana Wielkiego Koronnego gdy wypijano, dano ognia 24 razy. W poczcie piechoty cudzoziemskiej we dnie i w nocy stało 1 200. Po wałach piechoty węgierskiej stało we dnie i w nocy 600. Piechoty do noszenia potraw było 600. Zbudowano circum circa około pałacu w zamku pokojów dla pułkowników z tarcic - 40. Posłów tak, cudzoziemskich, jak i panów możnych i rycerstwa obojga narodów, z upominkami, które przez trzy dni oddawali, było 1 500, co twierdził regestr, do którego się Ich Mość panowie Posłowie wpisywali. (...) To trzeba wiedzieć, że tam był takowy traktament i wygoda gościom, że do wszystkich pokojów otwierano kluczem generalnym, a na śniadanie i wieczerzę stoły wszystkich gości zastawowano, ludo goście spali i jeść nie chcieli i win dostatek przy potrawach nanoszono. A trwał ten solenny bankiet od piątku do drugiego piątku i szczęśliwie bez wszelkiej zwady zakończony.



Witold Kłaczewski, Jerzy Sebastian Lubomirski, Wrocław 2002.

Możni Panowie w XVII wieku mieli dużą władzę. Z racji ciągłych najazdów dysponowali wojskiem. Ich fortuny rosły. W okresach wolnych od wojen, bawiono się więc, ucztowano wiele dni, tygodni czy miesięcy. Dwory magnackie naśladowały dwór królewski, sprowadzano muzyków z zagranicy, zatrudniano własne orkiestry. Takie wydarzenie jak ślub i wesele, musiały zapaść w pamięci, nie mogły być gorsze czy mniejsze od królewskich.

Bibliografia: Stanisław Czerniecki: *Dwór wspaniałość powaga i rządy.....1697 rok, rękopis Biblioteki Ossolińskich.*



Stanisław Czerniecki, który opisał słynne wesele w Łańcucie, jest autorem najstarszej książki kucharskiej „Compendium Ferculorum albo zebranie potraw” z 1682 r. Książka ta została opracowana przez prof. Jarosława Dumanowskiego z Uniwersytetu w Toruniu i wydana przez Muzeum Pałac w Wilanowie w 2012 r.

Artykuł prof. Jarosława Dumanowskiego o zapomnianych potrawach wigilijnych:

<https://www.cultureave.com/zapomniana-wigilia/>

Historia domu Pod Bocianami



Dom Pod Bocianami. Najpiękniejszy ganek drewniany w Łańcucie, fot. Wrzesław Żurawski.

Teresa i Wrzesław Żurawscy

O uroku Łańcuta stanowi nie tylko magnacka rezydencja Lubomirskich i Potockich, ale także zabytkowe, malowniczo rozsiadłe w ogrodach wille i domy, które nadały miastu niepowtarzalny charakter. Najstarsze z zachowanych pochodzą z XIX w. Należy do nich parterowy, typowo miejski dom *Pod Bocianami*, tym bardziej cenny - bo drewniany, do naszych czasów zadbane i remontowany przez właścicieli z pełną świadomością jego wartości historycznej i zabytkowej. Ze względu na budulec, jakim jest drewno, zabytki tego typu są bardziej narażone na niekorzystny wpływ czasu, pogody i... człowieka, który (strach pomyśleć) przez nieostrożność może zaprószyć ogień. Z powyższych względów liczna kiedyś w Łańcucie zabudowa drewniana prawie zniknęła.

Na szczęście dom *Pod Bocianami* stoi w pełnej krasie: okazały, bogaty, strojny w detal ciesielski. Wybudowany został z modrzewia w drugiej połowie XIX w. dla rodziny drogomistrza Kaczorowskiego. Nadano mu kształt wydłużonego prostokąta. Usytuowany w obszernym ogrodzie - dłuższą elewację, ozdobioną gankiem, zwraca ku ulicy Paderewskiego, naprzeciwko należącego do *obszaru dworskiego folwarku na Górnem* (po II wojnie światowej teren szpitala).

Jak wynika z informacji opracowanych przez Z. Juchę w 1980 r. (karta ewidencji zabytków WUOZ Rzeszów) - w ostatnim dziesięcioleciu XIX w. dom rozbudowano. W 1934 r. dom *Pod Bocianami* nabyły rodziny dwóch braci: Maria i Franciszek Rzucidłowie oraz Józefa i Józef Rzucidłowie od nauczycielki szkoły powszechnej Dzierżyńskiej. Już w następnym roku nowi właściciele przeprowadzili remont generalny budynku, a w latach 60. XX w. wprowadzono instalację wodociągową. Na skutek modernizacji i remontów rozkład domu zmienił się. W pierwotnie dwutraktowym, amfiladowym układzie wnętrza zbudowano przez środek ścianę rozdzielającą dom na dwie połowy dla użytku i wygody dwóch rodzin. Zewnętrzny jego wygląd pozostał niezmienny - dwuspadowy blaszany dach przykrywa oszalowaną deskowaniem wydłużoną bryłę.



Dom Pod Bocianami przy ul. Paderewskiego w Łańcut, fot. Wrzesław Żurawski.

Prawdziwą ozdobą budynku jest okazały przeszklony ganek na środku elewacji frontowej. W jego trójkątnym szczycie, oszalowanym w drobną łuskę, umieszczono symetrycznie parę zwróconych ku sobie bocianów, wyciętych z drewna i malowanych. Od tej ozdoby do drewnianego modrzewiowego domu przyłgnęła nazwa *Pod Bocianami*. W dużych, zamkniętych łukiem, przeszklonych oknach i drzwiach ganku wprowadzono drobne regularne podziały geometryczne, a pod oknami w szalunku - profilowo wycięte ornamentalne deskowanie. Niezwykle bogate jest obramienie okien budynku. W elewacji frontowej umieszczone po obu stronach ganku, po dwie bliźniacze pary otworów okiennych flankowane są kanelowanymi

smukłymi półkolumnienkami i zwieńczone trójkątnymi, wycinanymi z desek szczytami; w dolnej części wsparcie dla kolumnienek dają snycerowane konsolki, połączone toczonym wałkiem - rodzajem parapetu z podwieszonym ażurowym, wycinanym ornamentalnie fartuszkim pod każdym oknem.

W układzie wewnątrz domu zachowała się stara stolarka drzwiowa, podłogi, stropy oraz... niepowtarzalny klimat, pielęgnowany przez kolejne pokolenia spadkobierców rodziny Rzucidłów po dzień dzisiejszy. Smakowaniu tej staropolskiej gościnnej atmosfery sprzyjały, zapamiętane jeszcze z lat 80. i początku 90. XX w. wizyty w domu *Pod Bocianami*, okraszone pięknymi opowieściami Bogusława Rzucidły (syna Józefa), gdy siedząc w wygodnych fotelach i pijąc aromatyczną herbatę słuchaliśmy pogawędek o czasach przedwojennych, wojennych i powojennych. Jakże miłą dla nas okazała się retrospekcja tych opowieści przywołana w 2017 r. przez Państwa Jankowskich w tymże domu *Pod Bocianami*, świeżo i z sercem wypielęgnowanym do oryginalnej deski, belki stropowej czy mebla.



Bociany schowane pod dachem, fot. Wrzesław Żurawski.

Trzeba wiedzieć, że z domem *Pod Bocianami* wiąże się emocjonujący epizod z czasu II wojny światowej. Dnia 23 kwietnia 1944 r. z lotniska w Campo Cassale koło Brindisi wystartował brytyjski samolot Halifax JP 224 o imieniu „Rita”. Miał dokonać zrzutu broni i zaopatrzenia dla Armii Krajowej w rejonie Opola Lubelskiego. W wyniku awarii silników (na skutek

ostrzału przez samolot niemiecki) siedmioosobowa załoga wyskoczyła z maszyny przed jej rozbiciem w okolicach Tarnogóry koło Sarzyny. Lotnicy przeżyli. **Oscar Congdon** oraz **Edward Elkington Smith** dostali się do niewoli niemieckiej, skąd po wojnie wrócili do Wielkiej Brytanii. **James Caradog Huges**, **Charles Keen**, **Thomas Storey** (pilot) i **Patric Stradling** dostali się pod opiekę oddziałów partyzanckich Batalionów Chłopskich „Ojca Jana”, następnie przekazani oddziałowi AK „Kmicica”, a następnie oddziałowi partyzantów AL „Muchy” i sowieckich, którzy zorganizowali ich ewakuację lotniczą przez Kijów i Moskwę do Murmańska, skąd wrócili do Wielkiej Brytanii.

Siódmy z lotników, sierżant **Walter Davis**, radiotelegrafista, był ukrywany w rodzinie państwa Deców w gajówce w Smolarzynach, następnie w Rakszawie. Spotkał się z angielskim wojskowym przechowywanym przez AK **Jamesem Bloomem**, uciekinierem z niemieckiego obozu jenieckiego. **James Bloom** wstąpił do AK i został zaprzysiężony pod pseudonimem „Antek”. Korzystał z pomocy rodziny Sowów z Soniny, których córkę Katarzynę poślubił w warunkach konspiracyjnych. Obaj Anglicy wraz z francuzem **Henri Roustanem** (przypuszczalnie także uciekinierem z obozu) dostali się pod opiekę Zenona Szusta w Łańcucie. Przechowywani byli w domu *Pod Bocianami* przy ul. Paderewskiego 12 w rodzinie Józefa Rzucidło.

Józef Rzucidło ur. W 1891 r. był prawnikiem, absolwentem Uniwersytetu we Lwowie. Pracował w Banku Ziemskim, a następnie w Sądzie Powiatowym w Łańcucie jako kandydat notarialny, asesor notarialny, p.o. sędziego, notariusz. Jego biuro mieściło się w willi Fangorów przy ul. Mickiewicza. Po wojnie został kierownikiem Państwowego Biura Notarialnego. Był ostatnim prezesem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Łańcucie, zmuszony w 1946 r. do oddania Starostwu Powiatowemu kluczy do budynku Towarzystwa. W 1939 r., w czasie okupacji niemieckiej, aresztowany i katowany przez gestapo, następnie osadzony w obozie w Pustkowie, gdzie przebywał 18 miesięcy do 1943 r.

Aliantami zajmował się również syn Józefa, **Bogusław Rzucidło** ur. w 1920 r. żołnierz AK ps. „Bob”, zaprzysiężony we wrześniu 1943 r. Kolportował on prasę podziemną, prowadził nasłuch radiowy, a dzięki znajomości języków niemieckiego, angielskiego i francuskiego był łącznikiem między placówkami AK i zbiegłymi z niewoli żołnierzami alianckimi. Załatwiał on ślub kościelny **Jamesa Blooma** „Antka” i zorganizował mu wesele we własnym domu.

Walter Davis przebywał w domu *Pod Bocianami* od kwietnia 1944 r. do lutego 1945 r. Alianci zamieszkiwali okresowo także w innych miejscach w Łańcucie i okolicy, między innymi w wieżyczce willi Cetnarskich przy ul. Konopnickiej 29.

Ukrywanymi opiekowali się także Helena Pawłowska i jej brat sierżant żandarmerii WP Roman Pawłowski, żołnierz AK ps. „Rom”. Zenon Szust, poliglota, miłośnik poezji i muzyki umożliwił także potajemnie **Walterowi Davisowi** grę na organach w łańcuckiej farze. Po wojnie **Walter Davis** został ewakuowany przez Kijów, Odessę i drogą morską do Wielkiej Brytanii, gdzie został organistą w kościele parafialnym w Eversley.



Uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej z udziałem młodzieży I LO. W jasnym garniturze gospodarz – pan Janusz Jankowski, fot. Aleksandra Ruszel.



Goście uroczystości: siedzi Maria Szpunar – siostra żony Jamesa Blooma „Antka”, stoją od lewej: Magdalena Lew-Strawa (wnuczka Marii Szpunar), Dorota Szpunar (córka Marii Szpunar) i Teresa Bagińska – Żurawska, fot. Aleksandra Ruszel.

Po wojnie Józef Rzucidło za swoje zasługi został uhonorowany przez brytyjskie władze wojskowe dyplomem wdzięczności.

W 1946 r. Biuro Attache Wojskowego Ambasady Brytyjskiej w Warszawie reprezentowane przez majora J. F. Fillinghama przekazało Józefowi Rzucidło kwotę 20.000 zł tytułem rekompensaty za przechowanie angielskich wojskowych w czasie

okupacji niemieckiej. Obdarowany, jak sam napisał, przyjął pieniądze „na usilne życzenie” *attache* i przeznaczył je w całości na cele społeczne.

Połowę tej sumy czyli 10.000 zł na pomoc dla 20 uczniów 1 L.O. w Łańcucie pochodzących z biednych rodzin. Zostali oni wytypowani przez Radę Pedagogiczną. Zachowała się imienna lista z potwierdzeniami odbioru.

5.000 zł Józef Rzucidło przeznaczył na odnowienie Kościoła Mariackiego w Krakowie składając je na ręce ks. prałata dr Ferdynanda Machaya - proboszcza.

Pozostałe 5.000 zł otrzymał zaś Główny Komitet Uczczenia Pamięci Wincentego Witosa w Warszawie z przeznaczeniem na budowę Uniwersytetu Ludowego im. W. Witosa w Wierzchosławicach.

Wszystkie dokumenty w tej sprawie pozostały w rodzinie Rzucidłów i są przechowywane do dziś.

W lipcu 2018 r. państwo Małgorzata i Janusz Jankowscy umieścili na domu *Pod Bocianami* tablicę informującą o alianckich gościach w czasie wojny. Przypomina ona o zaangażowaniu łańcucian w walkę podziemną, ich doskonałej organizacji i niezłomnej postawie moralnej.



This certificate is awarded to

JOZEF RZUCIDLO

*as a token of gratitude for and appreciation
of the help given to the Sailors, Soldiers
and Airmen of the British Commonwealth
of Nations, which enabled them to escape
from, or evade capture by the enemy.*

*Air Chief Marshal,
Deputy Supreme Commander,
Allied Expeditionary Force*

1939-1945

W opracowaniu wykorzystano informacje z książki Stanisława Jankowskiego „Ostatni lot Halifaxa” oraz dokumenty z archiwum rodziny Rzucidłów.

Historia w karetach zaklęta

Rozmowa z Teresą Fabijańską-Żurawską, wieloletnim kustoszem Powozowni Zamkowej w Łąncucie.



Teresa Żurawska w Łąncucie.

Z panią Teresą Żurawską przyjaźnię się od wielu lat. Zaczęło się od rozmów ze starszymi osobami w mojej rodzinie, słuchania z zapartym tchem opowieści o dawnym obyczaju, balach, polowaniach, sportach, zjazdach rodzinnych i bytności różnych znanych, historycznych postaci w domu mojego dziadka. Tego świata już nie było koło mnie. Były bloki, podwórko, piaskownica, „babie górki”, było ślicznie i zielono, ale gdzie te sanie, powozy,

długie suknie i rytuał picia herbaty punktualnie o 16.00. Próbowałam odszukać ten zaginiony świat na starych pocztówkach. Uzbierała mi się niemała kolekcja. Poprzez pocztówki dotarłam do Łańcuta i autorki książki o obyczajach związanych z pojazdami konnymi z łańcuckiej kolekcji. Książka była pożyczona z biblioteki, ale żał było mi się z nią rozstać, więc ją całą przepisałam. Chodziłam wtedy do 4 klasy szkoły podstawowej. Po informacji o odkryciu przez Teresę Żurawską - kustosza Powozowni, słynnej ambony z Radacza, zbudowanej z części karet Sobieskiego, o czym było głośno w prasie, odważyłam się napisać list do Łańcuta. Zaczynał się od słów: „Mam 10 lat, chodzę do 4 klasy...”. Jakież było moje zdziwienie, gdy bardzo szybko dostałam poważną odpowiedź. Zaczęła się długoletnia korespondencja i przyjaźń. W Łańcucie odnalazłam świat sztuki, kultury, dawnych obyczajów. I poznałam bliżej panią Teresę, wspaniałego człowieka, który ma tak wielki wkład w tworzenie naszej kultury i reprezentowanie Polski na zewnątrz kraju, tak wielki dorobek pisarski, a jednocześnie tyle ciepła, stylu, elegancji, urody zewnętrznej i urody ducha. Jest to prawdziwa pani na Łańcucie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Ta wielka kolekcja powozów w Łańcucie, jedna z największych w Europie, jest w jakimś stopniu i pani dziełem. Jak do tego doszło, że pani, absolwentka KUL-u zajęła się historią pojazdów konnych i przyczyniła się pani do stworzenia nowej gałęzi historii sztuki?

Teresa Żurawska:

Oboje z mężem, Jerzym Żurawskim, przybyliśmy do Łańcuta w 1963 r. na usilne prośby ówczesnego dyrektora Muzeum-Zamku w Łańcucie, Antoniego Dudy-Dziewierza, wspaniałego człowieka, działacza i ideowca z przedwojennego PPS-u. Mąż został głównym kustoszem w randze wicedyrektora do spraw naukowych. Oboje mieliśmy już mały staż pracy w Olsztynie, zaraz po studiach zatrudnieni do misji kulturalnej, której nadano tajemniczą i brzmiącą konspiracyjnie nazwę „AKCJA 666”. Chodziło o rejestrowanie opisem, fotografią oraz danymi administracyjnymi, obiektów architektury zabytkowej, tak świeckiej, jak i sakralnej na Warmii i Mazurach. Jako historycy sztuki jeździliśmy po wypalonych, zrujnowanych miasteczkach, zniszczonych nie na skutek działań wojennych, lecz z rozkazu Stalina, by nie oddać tego, co ocalało po wojnie i miało w nowym podziale terytorialnym Europy przypaść Polsce. Akcja trwała trzy lata i nagle została przerwana, choć nie zakończona. Straciliśmy pracę i to oboje. Na świecie był już nasz syn Wrzesław. Trzeba

było szukać zarobku.

Przypadek sprawił, że w podróży do moich rodziców, którzy mieszkali w Zamościu, spotkaliśmy konserwatora wojewódzkiego z Rzeszowa. W rozmowie padła konkretna propozycja etatu w Urzędzie Wojewódzkim w Rzeszowie na stanowisku z-cy konserwatora. Bez zastanowienia przyjęliśmy tę możliwość jako szansę. W Rzeszowie upłynęły nam kolejne lata: ciekawy teren dużego wojewódzkiego miasta, dość zaniedbanego, ale bogatego w piękne obiekty architektury renesansowej, barokowej, drewnianej. Zaczęłam pracę w Muzeum Okręgowym i nawet miałam publikacje naukowe i popularne, z zakresu malarstwa i wystaw artystycznych, zorganizowałam znaczącą wystawę i całkiem dobrze się czułam w kręgu ludzi kultury rzeszowskiego środowiska. Jednak nasz syn zaczął w przedszkolu chorować i to zdecydowało o podjęciu decyzji przeniesienia się do Łańcuta.



Teresa Żurawska przed zamkiem w Łańcucie.

Miejsce pracy zachwycające, ale ileż tam było do zrobienia! Trzeba było wszystko, prawie od początku zorganizować, aby stworzyć z Łańcuta placówkę naukową promieniującą na całe południe Polski i nie tylko. Wieść o Zamku i Powozowni słynącej z najwspanialszej kolekcji pojazdów konnych szybko się rozprzestrzeniła. Do Łańcuta przybywały tłumy ludzi. Urządzano sesje naukowe, seminaria, odczyty, zjazdy i koncerty. Życie kulturalne kwitło, a my mieliśmy coraz mniej pracy. Nowy statut muzeum przewidywał podział ogromnego terytorialnie i merytorycznie zespołu na odpowiedzialne, samodzielne działy. Wyodrębniono również Dział Pojazdów Konnych, obejmujący dwa budynki ekspozycyjne, a w nich pojazdy, uprzęże, akcesoria i

wszystko to, co wiąże się z kulturą i obyczajem i jest ściśle związane z koniem. Moją ambicją było stworzenie ośrodka wiedzy na temat historii pojazdu zaprzęgowego, by służyć ludziom kultury informacjami, ikonografią, zasobem biblioteki specjalistycznej. W Łańcucie były wzory, perły, z których można czerpać wiedzę i do filmu, i do literatury, uczyć się obyczaju i elegancji. Przymuszona przez dyrektora do objęcia funkcji kustosa w tym dziale, zaczęłam uczyć się sama. Pomogły mi w tym wyjazdy na stypendia do Francji, Włoch, liczne podróże prywatne i popierane przez Ministra Kultury i Sztuki, udział w międzynarodowych zjazdach i wreszcie długoletnia przynależność do Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeum Transportu /IATM/ przy wielkiej międzynarodowej organizacji muzeów /ICOM/. Brałam w nich czynny udział, wygłaszałam referaty, zawsze na tematy polskie, jako przedstawicielka naszego kraju.



Widok na kolekcję pojazdów konnych w łańcuckiej Powozowni.

Powozy, to też ludzie, ich życie i obyczaje. Jakie tajemnice kryje łańcucka Powozownia?

Łańcucka Powozownia jest właściwie nieporównywalna z żadnym innym zbiorem na świecie, gdyż jest jedyną całkowicie zachowaną powozownią zamkową, rezydencjonalną, stworzoną ponad 100 lat temu.

Najwyższej klasy artystycznej, bo tak trzeba określić to rzemiosło, karety, powozy, breki i każdy inny pojazd kryją wiele tajemnic. Tymi skrywanymi wewnątrz są np. ukryte nazwiska

twórców. W przypadku karety galowej Berlina jest to wiedeński siodlarz Karasch i karetnik Marker, a na stopniach stangreckich znajduje się dobrze zakamuflowana data „1830”. Odnajdywanie takich tajemnic jest wielką radością. Są też zagadki, których nie udało się rozwiązać do dzisiaj, gdyż odległość czasowa nie uruchamia naszej wyobraźni w sposób wystarczający. Furgon bagażowy z około połowy XIX w. zaskakuje małymi urządzeniami w podwoziu i nie wiemy do czego służyły. Czasem wewnątrz karety całkiem młodej, bo zaledwie stuletniej, znajdują się uchwyty trudne do zidentyfikowania. Są schowki, jakieś skomplikowane „skrzyneczki” nie wiadomo w jakim celu wmontowane itd. Na koczyku gdańskim inicjały umieszczone na drzwiczkach, ułożone w ornament pod koroną nie zostały odczytane. Na szczęście herb rodziny szlacheckiej Faustów, która na prawdę istniała i występuje w „Błękitnym Almanachu”, został przeze mnie odczytany i znaleziony w starym, niemieckim herbarzu z 1654 r. Co to za radość po wielu miesiącach usilnych poszukiwań!

Sensacją w świecie nauki było odkrycie i udowodnienie, że ambona w małym kościółku w Radaczu koło Słupska, wykonana została z części karet Jana III Sobieskiego. Zrekonstruowane karety pokazane zostały w 2003 roku na wystawie w Wilanowie z okazji 320 rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem. Czy uważa Pani to znalezisko za największe swoje odkrycie, czy były też inne równie ważne?

Czasem zdarza się, że praca historyka sztuki, na ogół żmudna i monotonna, przeobrazi się wielką życiową przygodę. Tak było z rozszyfrowaniem ambony z Radacza, którą zrobiono w 1742 roku z trzech karet - dwóch króla Jana III Sobieskiego i jednej Marii Kazimiery, królowej, żony Jana.

W Wilanowie, na wystawie w 2003 roku pokazano, jaki miały kształt, wielkość, jak były zrobione i co znaczyły metafory, alegorie i symbole barokowe w ich dekoracji malarskiej i rzeźbiarskiej. To dzieła sztuki jeżdżące na złotych kołach. Rozszyfrowanie tego metajęzyka zajęło mi sporo czasu, ale też dało mi możliwość, zagłębienia się w historię, ceremoniał dworski, obyczaje epoki. Uważam, że było to moją życiową misją, aby Polsce oddać trzy królewskie, paradne karety najbardziej kochanego króla.



Wizyta Mieczysławy Cwiklińskiej w Łańcucie w 1968 roku. Od lewej: M. Cwiklińska, A. Grzybowski, T. Żurawska, red. Radomiński.

Kto ze znanych, sławnych i ciekawych ludzi, którzy odwiedzili Powozownię, najbardziej utkwił Pani w pamięci?

W Łańcucie jestem ponad 50 lat, z tego 30 pracowałam na rzecz Zamku i Powozowni. Przede wszystkim opracowałam zbiory, powiększałam je, zbierałam książki z zakresu historii pojazdów konnych, sama pisałam książki i artykuły, ale w moich czasach Zamek był tak popularny, że zjeżdżało doń mnóstwo ludzi wielkich i sławnych. Koronowane głowy, ambasadorowie, ludzie pióra, teatru, filmu i telewizji. Pamiętam wizytę Wielkiej Księżnej Luksemburga, której towarzyszyłam podczas zwiedzania zamku.

Przyjechał z nią cały dwór i co mnie zdziwiło, najbardziej słyhać było język polski, bo damy dworu to księżne i księżniczki Polki – Sapieżyny i Sapieżanki. Oprowadzałam też belgijskiego następcę tronu – księcia Filipa w towarzystwie ambasadora Belgii w Polsce, wysokiego arystokraty. Miałam zaszczyt oprowadzać naszego prymasa, ks. kardynała Józefa Glempa. Było bardzo zabawnie, bo Jego Eminencję wpakowaliśmy do karety generała Piotra Szembeka z XIX w. Z aktorów najmilej wspominałam Aleksandrę Ślaską, a z reżyserów Janusza Majewskiego. Nigdy nie zapomnę rozmowy z Marią Kuncewiczową, czy z Jerzym Waldorfem. Z zagranicznych gości świata artystycznego wspomnę piękną Juliette Greco. Nie sposób wymienić tu choćby połowy. Na prawdę było wiele osób wspaniałych.

Łańcut przechodził różne okresy. Była Pani świadkiem przyjazdów Cyrankiewicza, Hermaszewskiego, potem przyjeżdżali państwo Potoccy z Peru, prawowici spadkobiercy zamku. Jak wspomina pani tamte czasy?

Państwo Potoccy ożywili Łańcut po latach stanu wojennego i przemian, podczas których miejsce to, jakby straciło na popularności. Zamek znów zaczął rozbrzmiewać muzyką kameralną, odbywały się przyjęcia dla kilkudziesięciu osób. Zjeżdżała na nie arystokracja polska, francuska, hiszpańska, dyplomatyczne osobistości z krajów latynoskich i rodzina Potockich ze wszystkich żyjących jeszcze linii. Myślę, że nawet

przed wojną nie było tak licznych zjazdów i o takiej wysokiej randze społecznej, tyle książąt, hrabiów. Zaczęło się od ślubu Rosy i Stanisława Potockich z Peru, którzy właśnie w Łańcucie zapragnęli związać się węzłem małżeńskim. Nawet kaplicę zamkową na tę okazję ksiądz proboszcz specjalnie wyświęcił. No i to, co stało się ważne dla historii Łańcuta, w 2001 roku Państwo Potoccy z pomocą wielu osób zorganizowali uroczysty, z wojskowymi honorami pogrzeb ostatnich właścicieli: Elżbiety z Radziwiłłów Romanowej Potockiej, ich dwóch synów Alfreda - ostatniego ordynata i Jerzego, adiutanta marszałka Józefa Piłsudskiego, później ambasadora Polski przedwojennej w Turcji i w Stanach Zjednoczonych wraz z żoną Susaną Ytterregui, Peruwianką. Te cztery osoby były pochowane we wspólnym grobowcu w Lozannie (Szwajcaria). Teraz znajdują się w mauzoleum rodowym pod prezbiterium kościoła farnego w Łańcucie.



Teresa Żurawska z synem Wrzesławem Żurawskim (który zaprojektował m.in. winiętę magazynu „Culture Avenue”).

Żyjąc w takim miejscu jak Łańcut, bogatym w tradycje, a jednocześnie mając szeroki kontakt ze światem, (miała pani szereg wystąpień naukowych zarówno w Europie, jak i w Ameryce, jest pani autorką wielu poszukiwanych książek), czy rzeczywiście trzeba pokazywać Europie, nasze bogactwo kulturowe, gdyż wiele lat myślano o nas, że żyjemy daleko od centrum kultury, a takie miejsce, jak Łańcut położone jest pośród stepów, na kulturowej pustyni?

U naszych zachodnich sąsiadów dość powszechnie utrwalił się

wizerunek Polski, jako kraju pozbawionego kultury, nieciekawego, uważano, że „na wschód od Łaby nic nie ma”. I oto jakże daleko na wschód od Łaby istnieje taki zamek w Łańcucie i jeszcze dalej Krasieczyn, a w międzyczasie tyle prześlicznych zabytkowych kościołów, murowanych i drewnianych katolickich i prawosławnych. Nie mówiąc już o dworach i pałacach jeszcze dość licznych. Zdziwienie wtedy jest wielkie.

Czy gdyby jeszcze raz kończyła Pani studia, wybrałaby Pani Łańcut, jako swoje życiowe miejsce? Czy Łańcut jest dla Pani tym wymarzonym domem?

Łańcut dla mnie był wynikiem sytuacji życiowej, o której wspomniałam na początku, ale przyznać muszę, że to miejsce jest szczególne i szalenie inspirujące, niezwykle poszerzające wiedzę, bo trzeba znać się po trosze na wszystkim. Opanować trzeba historię Polski i Europy, w dużym zakresie genealogię, obyczaje i ogólnie kulturę, nie mówiąc już o historii sztuki, zwłaszcza czasów nowożytnych. Teraz już bym Łańcuta nie zdradziła, tyle tu mojego trudu, nieprzespanych nocy, przepracowanych dni i wieczorów, tyle emocji, eksploatowanej energii, tyle przyjaźni, spacerów i oddychania pięknem. Jeździłam w świat, ale świat też przyjeżdżał do Łańcuta i do mnie osobiście, zresztą przyjeżdża do dzisiaj. Wiele, nie wstydzę się tej megalomanii, eksponatów i książek przybyło tu za moim

pośrednictwem. Cała druga kolekcja pojazdów konnych, uratowanych od zagłady lub wywiezienia. Przez to wszystko Łańcut stał się moim Łańcutem. Czy wymarzone? - Nie wiem, nie miałam takich konkretnych marzeń, ale stał się nim z pewnością.



Babunia, Maria Joanna Anzelmowa z Moszyńskich De Schmieden Kowalska z córkami. Siedząca (bez torebki) matka Teresy Żurawskiej.

A jaki był Pani dom rodzinny, dwór w Czumowie, dom w Zamościu, ojciec, który wrócił pieszo z obozu oficerskiego we Francji do domu, do rodziny? Czy miłość do piękna, ideały, wartości, wszystko co jest w pani i czym pani emanuje, dając innym tak wiele, było w Pani domu?

W Zamościu był dom rodzinny, w którym urodziłam się i ja i mój syn. Do śmierci Taty w 1972 był moim azylem. Drewniany, niezbyt duży, z gankiem oszklonym i werandą od południa, położony wśród ogrodów, z dala od ulicy, przypominał z wyglądu i z obyczajów w nim panujących dwór polski.

Pielęgnowało się wszystkie tradycje świąteczne, katolickie i patriotyczne, chociaż po wojnie zakazane. Ciepło moich kochających rodziców (przeżyli 49 lat we wzorowej wprost harmonii), gościnność, atmosfera życzliwości, spokój ducha i równowagi psychicznej, były skarbami, które otrzymałam na całe życie, jako fundament mocny i niepodważalny. Jeszcze kilka lat po wojnie była z nami babunia, matka mojego ojca, jak zwykł był o niej mówić „Mateńka”. Kto dziś tak nazywa swoją matkę? A to takie piękne. Mówimy tak modląc się, upraszając o łaskę, ale do Matki Bożej. Myśmy to mieli w codziennych rozmowach przy stole, który jednoczył nas dwa razy dziennie – na obiad i na kolację, czasem był jeszcze czas na podwieczorek.

Jestem z czworga rodzeństwa, była więc z nas siedmioosobowa

rodzina. Ojciec przez 6 lat był w niewoli. Najpierw pojmany we wrześniu z 17/ 18 pod Równem wraz z całym taborem polskim. Zapakowali żołnierzy do bydłych wagonów i wozili po terenie południowej Rosji, aż po Ural, dając raz dziennie kubek kawy i kromkę spleśniałego chleba. Spali na mokrych liściach. Ta wędrówka bez celu trwała 7 tygodni. Przy wymianie jeńców (Sowieci z Niemcami), oddano Polaków do niewoli niemieckiej. Mój ojciec znalazł się wtedy w obozie międzynarodowym w miejscowości Oschatz w Saksonii. Ciężkie to były lata, wielu nie przeżyło, wielu zachorowało psychicznie. Mój ojciec, rezerwista, już nie młody (miał 40 lat, gdy wybuchła wojna), był bardzo schorowany, cierpiący na bóle stawowe. Jednak wytrzymał i postanowił wrócić do rodziny, bo tak pojmował swój obowiązek wobec społeczeństwa i państwa. Chodził w jednym ubraniu jakie miał, amerykańskim mundurze oficerskim. Na pewno nie ułatwiło mu to życia w pracy.



Pałac w Czumowie.

Czumów - dwór, a właściwie pałac z wysoką wieżą, jest do dzisiaj najjaśniejszym promyczkiem w moim dzieciństwie. Najlepiej pamiętam ostatnie długie wakacje 1939 r. Nasze zabawy ze starszym bratem i wyprawy, trochę tajemnicze, trochę zakazane np. na ową wieżę, gdzie gnieździły się sowy i kawki. Grzebanie w starych papierach, odkrywanie schowków, wyprawy po miód trzmieli i asystowanie przy lokomobili, a potem jazda na workach pełnych pszenicy do spichlerza. To była jeszcze większa frajda, niż zjeżdżanie ze sterty słomy. Radość nasza zakończyła się nawałnicą wojenną. Pamiętam panikę ludzi, gorączkowe rozmowy, przyjmowanie uciekinierów z poznańskiego i z

Warszawy. Wszędzie tłok. Wreszcie zapadła decyzja i babcia z mamą postanowiły uciekać za Bug, gdzie mieliśmy rodzinę ze strony ojca. Bryczka mało pojemna i furka z jednym woźnicą, który zechciał jechać z nami wyruszyły ostatnim promem przez Bug w kierunku Uściługa i Włodzimierza Wołyńskiego. Nigdy nie zapomnę widoku tłumów na drodze. Nie dało się jechać. Świetnie przedstawił tę scenę znakomity pan Antczak w filmie „Noce i dnie”. On pochodzi z Włodzimierza, sądzę więc, że widział to, co działo się na tych ziemiach Wołynia we wrześniu 1939 roku. To tak wyglądało w rzeczywistości. We mnie te obrazy wędrówki, pola po bitwie, palącego się samolotu, świst i warkot maszyn w powietrzu walczących myśliwców, strzelanina i wybuchy pozostały i w oczach i w uszach.

Na długie lata przyćmiły je wydarzenia, które przyniosły lata powojenne. Myślę, że oglądanie od dziecka albumów z kolorowymi widokówkami Kossaków, Andriollego, reprodukcji malarstwa Młodej Polski, które Mama zbierała i pozwalała nam oglądać, zwłaszcza podczas choroby, również encyklopedia Guttenberga, z barwnymi tablicami, oczywiście czasopisma o słodkich obrazkach, może nawet ckliwych, miały ogromny wpływ na kształtowanie się zainteresowań i umiłowań. Trochę wzięłam z genami Babci, z domu Moszyńskiej, która miała rzadkie poczucie estetyki na każdym kroku, wszędzie w najmniejszym drobiazgu. No i ta babcina, słynna już elegancja, nienaganny żabot, zapinka złota lub kamea, staranne uczesanie jeszcze z

epoki *fin de siècle'u*, przytrzymane ogromnymi szpilami. To była prawdziwa i ostatnia dama w naszej rodzinie. Takie kobiety potrafiły prowadzić piękny dom.

Co chciałaby Pani najcenniejszego przekazać swoim wnukom?

Chciałabym, aby moje wnuki, a mam ich czworo, były szlachetne wewnątrz, umiały odróżnić dobro od zła i kierować się dobrem, uczciwością, prawością. Chciałabym, żeby były nie tylko piękne z urody, ale i też piękne z wnętrza. Umiały być czułymi, współczującymi, rozumiejącymi i kochającymi. To chyba najważniejsze, no i szanowały swoje korzenie, tak rodzinne, jak i historyczne.

TERESA ZOFIA FABIAŃSKA-ŻURAWSKA *ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego /KUL/ otrzymując tytuł magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w*

Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki - III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych, innych publikacji ponad 100. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu /IATM/ przy ICOM /International Council of Museums/ reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i w pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „The transport Museums”, miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i

dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki m.in. słynne zbiory „Hermesa” przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem. Stale kontynuuje kontakty profesjonalne, publikuje, opracowuje i popularyzuje.